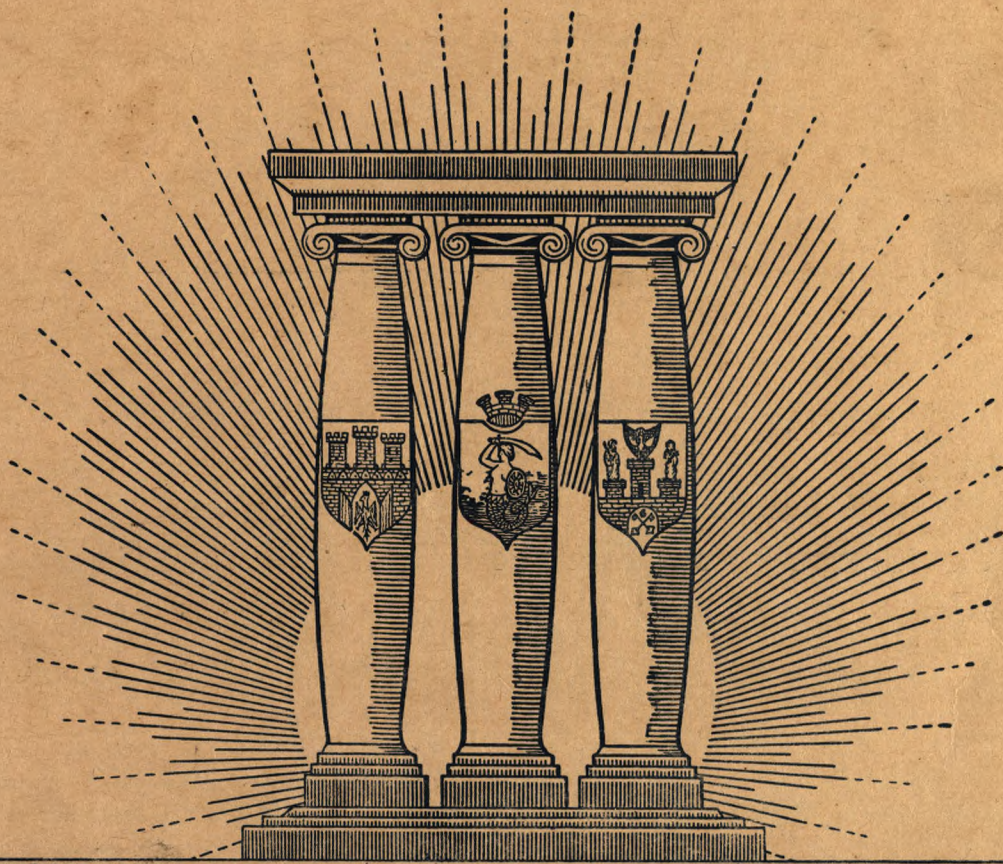


Litarski

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



ROK VI.

MARZEC — 1932

WARSZAWA

<http://rcin.org.pl>

ZE ŚWIATA RADJA

Radjo a ruch zawodowy.

Podstawowym zadaniem radja — jest dać słuchaczom pouczającą rozrywkę, a więc muzykę, śpiew, odczyt, słuchowisko, feljeton etc.

Nie można jednak zapominać o doniosłym znaczeniu radja, jako niezastąpionego narzędzia informacji i propagandy. W sprawach, mających niejednokrotnie najszerze i najgłębsze znaczenie dla społeczeństwa radjo od daje usługi nieocenione.

Przed mikrofonem stają członkowie rządu, gdy sytuacja wymaga oświetlenia najważniejszych spraw państwowych wobec szerokiego mas obywateli. Agencje prasowe przez radjo rzucają w świat wiadomości o ważnych zdarzeniach. Giełdy nadają swe notowania, by stworzyć, lub niszczyć fortunę. Słowem — gdy tylko informacja lub propaganda ma do trzeć w najszybszym czasie do najdalszych krańców państwa, ba, nawet świata — wówczas natychmiast zaczyna działać niezawodnie radjo. Z usług radja korzystają również organizacje społeczne, nadając dla zainteresowanych stałe komunikaty informacyjne, że wymienimy tylko komunikaty rolnicze, sportowe, lub harcerskie.

Istnieje dziedzina pracy publicznej, która w niedostatecznym stopniu wyzyskała dotychczas dobrodziejstwa radja. Mamy na myśli ruch zawodowy.

Zrozumienie siły ukrytej w zorganizowanym ruchu zbiorowym, coraz głębiej przenika w świadomość społeczną.

Jesteśmy też świadkami wzrastającego rozwoju ruchu zawodowego. Ruch ten, zogniskowany w poszczególnych związkach zawodowych, ogarnął już prawie wszystkie gałęzie

pracy fizycznej i umysłowej. Związki zawodowe jednoczą w swych szeregach liczne i karne zastępy pracownicy, zdobywają coraz większą siłę moralną i materialną. Pomyślny rozwój ruchu zawodowego sprawił, że wpływ organizacji pracowniczych w życiu społecznym i politycznym państwa — wzrasta się z każdym dniem. Opinia przedstawicieli tych organizacji jest brana pod uwagę przy rozstrzygnięciu przez rządy nader ważnych, niejednokrotnie — podstawowych dla państwa zagadnień. Słowem — należy stwierdzić niewątpliwie wzrost autorytetu i powagi współczesnego ruchu zawodowego. Jednakże, mimo pomyślnych warunków, sprzyjających rozwojowi — ruch zawodowy cierpi na pewne niedomagania, szkodliwie wpływające na intensywność, sprawność i skuteczność jego pracy. Nie są to bynajmniej organiczne niedomagania ruchu zawodowego. Przeciwnie. Źródło swe biorą w czysto zewnętrznych, mechanicznych, niejako, brakach, łatwo dojących się usunąć.

Bodaj najważniejszą sprawą w ruchu zawodowym jest kwestja utrzymania stałego, ustawicznego i bezpośredniego kontaktu zarządów związków, przeważnie mieszczących się w stolicy, z jaknajszerszą masą zrzeszonych. Daje się to, oczywiście, osiągnąć w drodze korespondencji, licznych pism i okólników. Wielkie usługi w tej mierze oddają również organy prasowe związków zawodowych. Ale wiadomość, częstokroć nadzwyczaj pilną, niecierpiącą zwłoki — podana w liście, lub okólniku, albo opublikowana w piśmie związkowym — dociera do poszczególnego członka związku dopiero po upływie kilku dni, niekiedy — kilku tygodni. Ten system komunikowania się centrali z członkami związku — niezmiernie

nie utrudnia skoordynowanie działań, uzgodnienie często sprzecznych poglądów, zarówno prowincjonalnych oddziałów związków, jak i poszczególnych związków. Wywołuje rozległą, długotrwałą korespondencję; powoduje stratę energii, czasu i pieniędzy, które mogłyby być użyte inaczej, bardziej produktywnie. System ten może również sparaliżować niejedną akcję, wymagającą, aby o jej szczegółach niezwłocznie powiadomiony był ogół zrzeszonych.

Jeszcze niedawno temu — była to przeszkoda nie do przezwyciężenia. Ale, na szczęście, żyjemy w wieku 20-tym, w dobie radja, kiedy, dzięki niemu, czas i przestrzeń zaczyna tracić na znaczeniu. Kiedy cały świat został połączony niewidzialnym, nieuchwytnym, a przecież niezawodnym łącznikiem; fal eteru.

Łącznik ten w ruchu zawodowym powinien grać rolę pierwszorzędną. Winien najściślej wężem połączyć wszystkich, którzy się grupują pod sztandarem któregośkolwiek związku zawodowego. Bo radjo dociera wszędzie. W najmniejszych wioskach mamy dzisiaj odbiorniki radjowe. Radja słuchają, rozsiane po obszarze całej Rzplitej dziesiątki tysięcy pracowników wszystkich zawodowców. Więc też głos ich związku, rzucony w mikrofon, będzie usłyszany przez wszystkich, którzy go usłyszeć powinni. I oto, co głos ten nakazuje im wykonać — będzie wykonane szybciej, niż gdyby nakaz ów powierzony innemu, powolnym środkom porozumienia. Radjo stanie się jeszcze jednym, precyzyjnym narzędziem pracy na niwie zawodowej i sprawi, że praca ta wyda plon tysiąckrotny. Radjo uleczy niezawodnie powierzchowne, a tak dokuczliwe niedomagania ruchu zawodowego.

Z. F. G.

Świat murzyński

Zł. 5.50

Autor—długolelni misjonarz w dalekich krajach—opisuje w swego rodzaju trylogji swą podróż apostolską do Afryki, swój czteroletni pobyt wśród synów Czarnego Łądu, ich życie i obyczaje. Przed oczyma czytelnika przesuwa się ów egzotyczny świat murzyński tak plastycznie przedstawiony, jak gdyby polski czytelnik razem z misjonarzem wędrował.

Ks. Józef Spillmann

Tajemnica spowiedzi

Zł. 3.—

Są książki, które nigdy nie tracą na aktualności, które — można powiedzieć — nigdy się nie starzeją. Do takich książek należy powieść Tajemnica spowiedzi, która doczekała się w polskim języku obecnie już czwartego nowego wydania.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOŚI:

ROCZNIE:

Polska	zł. 10	Czechosłowacja	kor. cz. 60
Niemcy	R. mk. 3	Ameryka	dolary 2
Francja	frank 35	Inne kraje	fr. szw. 10

POŁROCZNA prenumerata w Polsce — 5 zł.: KWARTALNA — 2.50 zł. Cena Cena POJEDYŃCZEGO numeru 1 — zł

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

Telefony Administracji: 240-15 Redakcji 503-59, P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 3 — 5 po poł. rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA



MIESIĘCZNIK
LUSTROWANY

ROK VI. WARSZAWA, MARZEC 1932



Leśne uroczysko w zimie.

W. Korsak 1931.

MELANCHOLJA

Melancholja...

Szyby oszroniałej mat
Jasność nieba chytrze skradł.
Przekorna dłoń przeznaczenia
Światłość słońca w cieniu zmienia.

Magnolja,

Dziwny, tajemniczy kwiat
Wykwita z szyby śnieżnych szat.
Dla niej słońca mdlawy blask
Nie skąpi judaszowych łask.

Przeznaczenie...

Mą duszę dziś chwycił mróz
Do serca przyłożył nóż
Rozpaczą szarpie mi trzewia,
Ironicznie twarz wykrzywia.

Jak cynfolja

Mnie się kwiat. A śmierci ból
Woła doń: swe płatki stul!
Placze mdły kwiat mleczną rosą,
Skarży się obcym niebiosom.

Melancholja

Splywa z szyby strugą łez —
Srebrny miraż szybko szczył.
Szklaną gładzią strugi płyną...
Chciałbym wodę zmieniać w wino...

Melancholja...

Mojej duszy słabej mat
Radość życia tajnie skradł,
Przekorna dłoń przeznaczenia
Piękno życia w nędzę zmienia.
Melancholja...

Upojenie —

Na me serce biedne spłyni,
Przełoń zimę, wiosnę czyń!...
Chcę przyjaznych pieścot słońca,
Czekam tęskno szczęścia gońca.

Rozdwojenie...

Pragnę, choć nie umiem chcieć...
Jak te rosy muszę biec
W obce szlaki, w cudze dale,
Rozpływać się w mętne żale...

ST. RADOST.

ROLA KATOLICKIEGO PIŚMIENNICTWA W POLSCE

Piśmiennictwo katolickie ma do spełnienia w Polsce rolę wielce doniosłą, jeśli się wolno wyrazić — wprost misję dziejową. W Polsce odrodzonej politycznie trzeba dokonać wielkiego dzieła odrodzenia duchowego. Prasa katolicka, pisarze katolicy, są niewątpliwie jednym z ważnych czynników tego dzieła. Rzucone z wyżyn Stolicy Piotrowej hasło obecnego pontyfikatu: „Restaurare omnia in Christo“ znaleźć może i powinno ważny wykładnik w prasie katolickiej. Pisarz katolicki — to wedle słów Leonowych — nowoczesny apostoł prawdy ewangelicznej.

Aby to dzieło apostołstwa przez prasę mogło być właściwie i skutecznie przeprowadzone, potrzeba zjednoczenia się ogółu pisarzy katolickich zwłaszcza w Polsce we wspólnej organizacji; trzeba ustalenia zasadniczych wytycznych i haseł pracy, wprowadzenia jednności i porządku do tej pracy piśmienniczej, która w Polsce niewątpliwie rozwijała się dzięki dobrej woli jednostek, jednak była chwilami chaotyczna w swej całości.

Jakżeś mogła powstać w Polsce jednolita i nieugięta opinia katolicka, kiedy czasami niektórzy jej wodzowie psuli szyki solidarności.

Z prawdziwą więc radością powitać należy wyniki kongresu pisarzy katolickich, który doprowadził do stworzenia podstaw organizacji ogólnokrajowej.

Mamy zatem obiecujący początek zjednoczenia się pisarzy katolickich, mamy rzucone przez zjazd aktualne hasła pracy, mamy podniosłą deklarację ideową; słowem, powstaje potężny nurt, głęboki ruch organizacyjny, który nada jednolite oblicze ideowe piśmiennictwu katolickiej Polski.

Zjazd warszawski, otwarty wielką mową programową Jego Eminencji Ks. Kardynała Kakowskiego, stanowi punkt zwrotny w dziejach piśmiennictwa katolickiego.

Pisarze katolicy, jako zbiorowość, wiedzą teraz, czego od nich wymaga chwila obecna, naród i Kościół.

W uchwałach zasadniczych wyraziła się najdokładniej świadomość aktualnego celu pracy pisarzy katolickich.

A więc działalność apologetyczna, budzenie uświadomienia katolickiego w społeczeństwie, wspomaganie piórem publicysty, poety, dziennikarza wielkiego w Kościele przedsięwzięcia religijnego naszych czasów — Akcji Kat. Dalej, pisarz katolicki — jest jakby głosem sumienia publicznego, nic więc z życia nie może mu być obce: wszędzie, w polityce, gospodarstwie, nauce, sztuce, teatrze, beletrystyce podkreślać winien religijno-moralny punkt widzenia, dokumentować katolicką zasadę miłości i sprawiedliwości jako sprawdzian wartości zjawisk życia.

Pisarz katolicki w Polsce musi wreszcie przyczynić się do pogłębienia życia religijnego. Katolicyzm nasz nie zawsze bowiem jest dość głęboki, nie zawsze świadomy zasad i gotowy do poparcia ich czynem. Życie katolickie ma i u nas swe mielizny, załamania, braki. Walczyć z tem — oto zadanie pisarza katolickiego.

Tam wszędzie, gdzie wiara i religia są zagrożone, czy wręcz napastowane, pisarz katolicki winien wystąpić w obronie prawdy, wykazywać błędy, ganić zgorzsenie. Potrzeba tego dziś zwłaszcza, gdy myśl laicyzyczna usiłuje położyć swe zgubne piętno na ustroju państwa i jego gospodarce, prawodawstwie, szkolnictwie, literaturze pięknej i t. d. Atakom na Sakrament małżeństwa należy przeciwstawić gorącą jego apologię, uzasadnienie jego społecznej roli i wartości. (co przecież dziś taki budzi głęboki oddźwięk w umysłach). Kodeksowi komisji kodyfikacyjnej — należy przeciwstawić projekt katolickiego kodeksu małżeńskiego.

Pisarz katolicki w pełnym rynsztunku swej wiedzy, chrześcijańskiego humanitaryzmu i talentu — to bojownik Bożej sprawy, jeden z pierwszych, po kapłanie, przedstawicieli i głosiceli dobrej nowiny. „Przywdziejcie zbroję Bożą“ wzywa Apostoł! Kiedyż bardziej jak dziś powinni ochoczo i ofiarnie spełniać ten nakaz pisarza katolickiego.

Wielkie jest bowiem ich zadanie i wielka odpowiedzialność. Temu wielkiemu zadaniu i tej wielkiej odpowiedzialności błogosławi Ojciec św. Pius XI w Encyklice, obwołującej św. Franciszka Salezego patronem pisarzy katolickich.

By temu zadaniu sprostać, by tej odpowiedzialności się nie sprzeniewierzyć, pisarz katolicki musi posiadać stosowne przygotowanie i wykształcenie, musi sentire cum Ecclesia na podstawie gruntownej znajomości teologii i filozofii chrześcijańskiej, prawa kanonicznego, słowem całej nauki Kościoła. To też z punktu widzenia dalszej przyszłości, konieczne jest stworzenie w Polsce uczelni wyższej dla katolickich pisarzy i dziennikarzy.

Pisarz katolicki, świadom jest swej misji i odpowiedzialności więc, ile się po nim spodziewa społeczeństwo, to też przemawiać będzie zawsze z powagą i szczerością, ale jednocześnie z umiarem, a pojednawczo, jako wyraziciel „Pax Christi in regno Christi“ zarówno wobec swoich, jak i obcych ludzi. Pisarz katolicki nienawidzi błędów, ale kocha człowieka i dlatego dobrze odważy każde słowo, które pisze i skierowuje w świat.

Nie ranić i drażnić, lecz koić i pocieszać, nie burzyć, lecz budować, nie zaciemniać, lecz oświecać, nie nienawidzić, lecz miłować w imię Chrystusa — oto zadanie pisarza katolickiego, który pragnie przyczynić się do dzieła odrodzenia duchowego naszej ojczyzny.

J. Czarnecki.



BYŁ SŁODKI I CICHY...

Był słodki i cichy i szedł przez świat, dobrze czyniąc wszelkiemu stworzeniu.

I gdzie zstąpił, rozjaśniały się oblicza, osychały lzy, kwiaty piękniej kwitły i woń cudniejszą rozsiewały, prostowały się krzywe ścieżki żywota nędzarzy, ostre drogi gładkimi się stawały.

I stały się pod stopy Jego błogostawieństwa ludzkie i uśmiechy, a On, idąc, wskrzeszał umarłe, uzdrawiał chore, oczy ślepców na światło i piękno dnia otwierał, oczyszczał trędowate, podnosił wyklęte, karmił rzesze zgłodniałe, w skalach bezpłodnych źródło rzeźwiące w czas znoju obudził i miłość głosił, i przebaczenie i miłosierdzie bez granic.

Inni pragnęli władzy — On jej nie pożądał; pragnęli bogactw, pałaców, uczt, rozkoszy, purpury i złota, — On pozostał ubogim tułaczem, bezdomnym nędzarzem i nie miał gdzieby znużoną gowę swoją mógł złożyć.

I umiłowały Go rzesze tysiączne. I gdy w bramy świętego miasta wjeżdżał — wyszły na spotkanie olbrzymie tłumy ludu, część Mu królowką oddając.

Nad głową Jego chwiały się pióropusze palm, pod stopy stały purpurowe płaszcze, drogocenne kobierce i kwiaty. Matki ukazywały Go dzieckom swoim. Grzmiały radosne okrzyki:

„Hosanna synowi Dawidowemu!

Błogostawiony, który idzie w imię Pańskie“!

A On jechał pośród tłumów cichy, w zaświatowej zadumie pogrążony...

I smutna była dusza Jego aż do śmierci, bo oto widzialna już jej była chwila, gdy ów pochód triumfalny — drogą krzyżową się stanie.

Nad świętą głową Jego zbierały się już burze, Jemu tylko widome, czały się złe moce, aby cios zdradziecki zadać!

Bo oto On, tak cichy, łagodny i bezbronny, co szedł przez życie dobrze czyniąc wszelkiemu stworzeniu, wypowiedział walkę światu obłący, światu, co gotów kupczyć najświętszymi ideami.

Jego gołębia dusza raz tylko ogniem świętego gniewu zapłonęła na tych, którzy ze świątyń Pańskich targowisko uczynili. Jego usta, tak zawsze pełne miłości i przebaczenia, — obłudnikom i kłamcom słowa groźby rzuciły:

„Biała wam, obłudnicy, iż podobni jesteście grobom pobielanym, które z wierzchu wydają się piękne ludziom, a wewnątrz pełne są kości umarłych i wszelakiego plugastwa“.

Więc oto świat obłądy i kłamstwa, świat kupczących w świątyniach Pańskich, pobielane groby starego zakonu nienawiści — umyśliły zabić Prawdę i Miłość.

Zaiste, wielką jest noc złości ludzkiej, a jako dym ulotny wdzięczność i chwala tego świata!

* * *

Minęło dni niewiele, a na ulicach tego samego miasta zebrały się olbrzymie tłumy.

A wśród tej ciżby szedł On, z twarzy wychudła i pokrwawiona, w koronie cierniowej, zelżony i skatowany, pod ciężarem krzyża upadający... Szedł pośród uragowiska molochu.

Pośród tych samych niezliczonych tłumów, które przed czterema dniami purpurę i kwiaty pod nogi Mu stały, część boską oddając — dziś wrogich i nienawistną dyszących.

Szedł obojętny na miotane obelgi i okrzyki gniewu tych, którym nigdy złego nic nie uczynił, pełen przebaczenia, ponad wszelkie ludzkie zło wyniesiony i tylko „ogromem smutku całej ziemi — smutny“.

A pośród tych rzesz tysiąca nie ozwał się żaden głos mocnego wyrzutu ni protestu:

— Przecz Go krzyżujecie? Zali co złego komu uczynił?...

Po zaułkach i cieniach ze swym bólem i żalem kryli się nieliczni Jego wierni wyznawcy... milczeli ci, których był Uzdrawicielem i Wskrzesicielem!

„O Jeruzalem, Jeruzalem, które zabijasz proroki i kamienujesz te, które są do ciebie przystane“!

* * *

...I stanął ponury orszak na Wzgórzu Śmierci... Na hańbiącym drzewie krzyża zawisł Ten, który był Światłem w ciemnościach, Prawdą i Miłością.

Dopelnitno się!

Nad światem zawista ciemność i groza.

Szyderyczy śmiech szatana zabrzmiał w powietrzu...

Zadrżała ziemia, jakby szarpnięta bólem istota żywa, rozpadła się zasłona kościelna, uderzył grom i olbrzymia krwawa błyskawica rozdarła niebios sklepienia...

„...Elli, Elli lamma sabakthani“!

„Gdzie nadzieja wasza, ludzie, gdzie ucieczka i wybawienie — jeżeli Bóg wasz umarł i niemasz Go więcej pośród was“?!

W pomroce, na ciemnym drzewie krzyża, jaśnieje blade ciało Umęczonego.

Mgłą też przesłonione wpatrują się weń z niewysłowionym bólem oczy świętych niewiast. Drżą na wargach słowa niewymówione, słowa straszliwego niepokoju pełne:

— „Zali zmartwychwstanie? Zali dane nam będzie oczyma ziemskimi oglądać triumf Światła nad ciemnością, zwycięstwo Boga nad szatanem“?

* * *

O, nie trwóście się, duchy wybrane i mitujące!...

Wielka jest moc złości ludzkiej i wielką wydaje się potęga ducha ciemności, kiedy Bóg daje mu chwilowe panowanie nad światem, ale jedynie Moc Boża jest niezniszczalna i wieczna! O, nie trwóście się, choć ciemne chmury przestoniły niebios, choć jeszcze długa, długa noc przed wami, bo oto hen na widnokręgu rozpraszają się już mroki i wstają Boże świty Zmartwychwstania!

Światło z ciemności, — życie ze śmierci się rodzi...

I przyjdzie jasny, słoneczny dzień, gdy w bramy miasta wejdzie On, a nad miarę udreńczona ludzkość — nie kobierce i kwiaty, lecz serca swoje pod stopy stać Mu będzie:

— Hosanna Synowi Dawidowemu! Niech będzie błogostawiony Ten, który idzie w imię Pańskie!

Alleluja!

Weselmy się, albowiem zbliża się ten Wielki Dzień, gdy Anioł Pański kamień ciężki odwali, a z ciemni Grobu Bóg wstanie żywy.

I w serca nasze wnijdzie, jak do świątyni.

I pójdziemy wczas Jego śladem przez świat, do brze czyniąc wszelkiemu stworzeniu...

Zofja Guzowska.



WSPOMNIENIE

Pamięci Artura Oppmanna

*Wśród starych kamienic ciszy zadumany
 W ich tęsknym rozgwarze nocą zastuchany
 Snuł nić jasnych myśli dla swojego ludu
 Strojnych w blask tęczy, wolnych od mgieł złudy
 Wykowanych w szlachetnego kruszczu rymy...
 Na pamięć przywodził świetności godziny:
 Bwakowe gwary i — trudy żołnierki,
 Tęsknoty za krajem pośród poniewierki...
 I z granieciem wieczornem katedralnych dzwonów
 Pieśń płynie dziękczynna, hen do niebios tronu,
 W dźwiękach zakłete duszy polskiej tchnienie —
 Głosami ze spiżu niesie przypomnienie
 Wciąż słyhać w nich jeszcze dźwięki surm bojowych,
 Okrzyków radości, wiwatów majowych:
 „Wiwat król i naród! Wiwat wszystkie stany!”
 Szeroko otwarte katedralne bramy,
 Barwne tłumy, radość z twarzy ludu tryska,
 W skupieniu, powadze cisną się, by zbliska
 Ujrzeć, jak na wierność król przysięgi składa.
 A głos farnych dzwonów radość rozpowiada..*

*Rozpacznie spiżowe serca biją dzwonów
 Smutek cieni zespól staromiejskich domów,
 Poszli w bój czwartacy — zszarzały mieszczan twarze
 Po pustych ulicach kroczą wojska wrażeń!..
 Krew ciecze serdeczna niezgojoną blizną,
 W krąg jęk straszny — „Coście zrobili z ojczyzną”
 Drży pieśń wygnańców z dalekich pól Sybiru
 Brzemienna bólem, na który niemasz kiru!..
 Zmilkł krzyk: „Do bronii!” — ostatni podchorąży
 Na wolskim padł szanču! Złowieszczy kruk krąży,
 Kracząc mu hiobową wieść: — „Warszawa wzięta!”
 I w proch legła wolność z krwi waszej poczęta!” —
 Skruszyła mu serce wieść, jak grom armatni,
 Skonał na lawecie z walecznych ostatni...
 Mija dzień za dniem i płyną lata całe,
 Zmilkły głosy dzwonów bijących na chwałę
 Tylko drży sygnaturki cichy, tęskny śpiew,
 Aż zbudzi uspiomych rycerzy ziemi zew!...*

I oto jak zły koszmar minął cały wiek
 Stare miasto bielą puszystą pokrył śnieg.
 Święta noc — Zbawiciel świata narodzony..
 Wielkie wieści gloszą katedralne dzwony,
 W ich głosach śpiżowych drżą radosne śpiewy,
 Do gniazd powracają jak zbłąkane mewy
 Ze wszech stron tulacze, pielgrzymi bezdomni,
 Zwycięstwem radośni, mocą czynów — wolni!..
 Gra trąbka ułańska rozkaz do wsiadania
 Nie czas na spoczynek, ckiwie rozmyślania,
 Jęli w dłoń mocarną głowicę szablicy
 Ze śpiewem na ustach do Boga-Rodzicy —
 „Poeto — żołnierzu pieśni twe wysnily:
 „Hufce uskrzydłone w święty bój ruszyły!”
 Grają bojowe surmy biją salwy armat
 Krwią się rozplomił sztandaru amarant,
 Hej szaleni wnuki tych z pod Sammo-Sierry
 Pędzą do ataku polskie szwoleżery.
 „Zabłyśnie wam laur, na zwycięskiej skroni!”
 Drży ziemia tętentem rozszalałych koni
 Z krzykiem: „naprzód!” poszli szwadron za szwadronem

By w serca własnego źródłisku czerwonym
 Przyjął chrzest za winy ojców: w krwi oparach,
 Wśród gwarów bitewnych i w śmierci fanfarach!...

Minął lat dziesiątek, gdy w bitew kurzawie
 Sztandary wolności wzniosło młodych ramię
 Dzierżąc miecz zwycięski w orłócych pazurach,
 Krwią własną zmazali rdzę na srebrnych piórach,
 Wskrzyszając w pożogach dzień wolności śniony..
 „Znowo biją radośnie wszystkie farne dzwony
 I pieśnią dziękczynną składają cześć Bogu..
 Poeto — żołnierzu, nim w wieczności progu
 Stanąłeś w czystości duszy promienistej
 Twe oczy widziały, co w pieśni ognistej
 W rym mocny zakląłeś! Niechaj dziś laury
 Skronie twe uwieńczą, a anielskie chóry
 Niechaj ci zagrają surm zwycięskim graniem
 Na Rzeczpospolitej Polskiej Zmartwychwstanie!

Al. Średnicki,



K. Olszewski 1931.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

NA SWOJEM MIEJSCU.

Jakże często, patrząc na otaczający nas świat, nazywamy go cudownym dziełem Stwórcy Boga.

Cudowne to, zaiste, dzieło! Wielkie i wspaniałe, doskonale i niewypowiedzianie wzniosłe! Tak wielkie, że nas ogrom jego przeraża, a tak subtelne, że najlepsze szkło powiększające nie ukaże naszym oczom ostatnich jego głębin. Tak pozornie proste w swej budowie, że dziecko — zdawałoby się — pojmie je bez trudu, a tak wspaniałe nad podziw, że najgenialniejszy umysł ludzki nigdy nie ogarnie jego sił i form różnorodnych, nie obejmie całokształtu jego zjawisk. A z jak dziwną sprawnością i prostotą działają wszystkie te siły, rozwijają się wszystkie zjawiska! Najbardziej idealnie złożona maszyna nie posiada tak zharmonizowanego układu części, tak dostrojonych do siebie nawzajem kół, trybów i sprężyn, tak cicho, bezszelestnie działających, a tak nieomylnie w swoim czasie i na swoim miejscu, jak właśnie ta pierwotna maszyna wszechświata, co wyszła przed wiekami z rąk Wszchemocnego.

W tem przedziwnem i cudownem dziele wszechstworzenia masz i Ty, Druhu mój i Bracie, wyznaczone miejsce swoje. Jak każde z ogniw tego, w bezkres idącego łańcucha, jak każda z sił, form, każde kółko tej przeogromnej maszyny wszechświata, jesteś i Ty umieszczony w swoim czasie i na swoim miejscu. Bóg nie musiał, oczywiście, powoływać cię do bytu, lecz skoro cię powołał już całość świata nie da się pomyśleć bez ciebie. Masz w nim swoje miejsce i Bóg i ludzie muszą się liczyć z osobą twoją. Ślady twego istnienia są w świecie i pozostaną. Głębsze, czy bardziej powierzchniowe, ale są. Czy nieznanym nikomu, niedoceniany i wzgardzony przechodzisz przez ziemię, czy przeciwnie, mocna prawica twoja i brzemienne w skutki twoja myśl i wola wpływają na bieg dziejów współczesnej i przyszłej ludzkości — zawsze ślad po tobie zostanie. Na glinie ziemi odcisnie się stopa, zarysuje mogiła twoja.

Nic bowiem nie ginie we wszechświecie. Nie ginie myśl i działalność człowieka, lecz i z nami i po nas żyje dalej, choć niezależnie już od nas. Jakieś fale jasne, czy też ciemne wylewa ze siebie serce i dusza, które rozplývają się po świecie, pomnażają w nim raz światło, kiedyindziej mrok. I każdy człowiek, najlichszy nawet i najmniej znaczący, wkłada swoją nitkę, wsnuwa swój wątek w urabianą przez wieki kanwę dziejów ludzkich.

Pomyśl, proszę. Gdy piszę dla Ciebie te słowa, czyż nie wplątam czegoś w świat, czego już żadna moc nie wypruje? Inną była kanwa świata przed napisaniem tych słów, inny kształt i koloryt przybierze po ich napisaniu, bodaj na przestrzeni kilku drobnych ściągów. Już i Ty i wielu Tobie podobnych inaczej myśleć będą, zetknąwszy się i niejako porozumiewszy z ujętą w słowa myślą moją.

I tak jest ze wszystkim, co czynimy. Mamy w świecie wyznaczone miejsce swoje, na którym nas Bóg postawił, dokąd doprowadził nas przez skłonność, upodobanie wrodzone, przez ukochanie serdeczne. I z tego punktu naszego istnienia jak z ogniska, płonącego słabiej lub mocniej, rozchodzą się fale światła na wszystkie strony dokoła, rozsiewa się niejako na innych

istota nasza. I dlatego to Chrystus w znanej przypowieści o talentach tak ostro potraktował leniwego i gnuśnego sługę, co talent otrzymany zakopał do ziemi, zamiast korzystać z niego i wzbogacać nim innych. Okazał się bowiem nitką, zerwaną na kanwie bożej życia, iskrą samowolnie wygasłą, drzewem nadarmo posadzonem i nie przynoszącem owocu na tem miejscu, gdzie go Bóg umieścił.

W dal ulatuje myśl moja, chcąc odnaleźć miejsce, jakie ci Bóg przeznaczył. Może udziałem twoim stał się jaki cichy, ciasny i ciemny kąć, dokąd nigdy nie zagłąda wesoły promień słońca... Wysoki, brudny mur zagradza mu drogę. Może nad polem twjej pracy szalone wichry wieją... Nie masz uznania, ni pochwały, nikt udręczonej duszy twojej ręki nie poda, każdy nakarmi goryczą i w samo serce ukłuje... A może przeciwnie, postawił cię Stwórca na posterunku chwały. Praca ci idzie, jak z płatka, róże po prawej, róże po lewej ręce ci kwitną, otacza cię woń i atmosfera niemal rajszych dni...

Jakkolwiek jest, wiedzieć musisz, że w zasadzie na jedno to schodzi, czy zajmiesz stanowisko przez ludzi wielbione, czy przeciwnie, wzgardzone. Najostatniejszy kącik ma swe znaczenie w oczach Boga. Najdrobniejsza, najlichsza rzecz posiada wielką wagę, kiedy wypływa z wielkiego serca, z wielkiej duszy. Najmniejszy kubek wody, poczerpnięty z ubogiej cystermy, dla orzeźwienia proroka — otrzymał zapłatę jego posłannictwa godną. Mniejsza o to, czy kto ubiera się w siermięgę i w niewybredną pod względem artyzmu chuścinę prostej, wiejskiej kobiety, czy obleka się w najmodniejsze jedwabie u pierwszorzędnego krawca. Nie jest to rzeczą konieczną, żeby praca nasza wpadała ludziom w oczy i podziw szerokich sfer nam jednata. Czy kogo chwala, czy gania, czy nosi ordery, czy ich nie ma, czy zwycięża mieczem, czy wzniesieniem rąk do nieba, przy warsztacie, czy pługu, lub biurku ministerjalnem, każdy o tyle dokonywa wielkich rzeczy i wywiera wielki wpływ na otoczenie swoje, o ile to czyni wielkiem sercem i Bogu oddanem. Każdy w swej duszy posiada talent wieczny i gdy go nie zakopuje, lecz kupczy nim aż do chwili, kiedy Pan przyjdzie, wzbogaca wieczność swoją.

Bardzo często spotkać można ludzi, którzy nieustannie narzekają na swój stan, na nieodpowiednie miejsce w społeczeństwie, jakie im przypadło w udziale. Udowadniają swoim i obcym, że tylko dlatego nie większego nie mogą dokonać, że im Opatrzność odmówiła wyższego stanowiska w świecie. A kiedy wreszcie to wyższe stanowisko otrzymają, jeszcze mniej umieją zrobić, niż inni, którzy o to się nie ubiegali. Zapewne, że wielu z pośród uzdolnionych wskutek ubóstwa nie może zdobyć wyższego wykształcenia i rozwinąć talentów swych doczesnych należycie. Może natomiast każdy i zawsze rozwijać w sobie i do rozkwitu doprowadzić ten talent wieczny, którym sobie zgromadza skarby niezniszczalne. Może nie być inżyniera, co przerzuca mosty nad rzekami ziemi, ale może zbudować most szczerozłoty i potężny pomiędzy niebem i ziemią, w zakresie swych obowiązków i na swoim miejscu, pilnując woli B o g a.

LUDWIK EIGNER

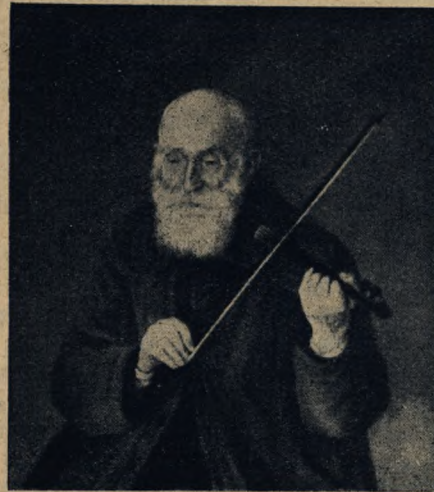
W niejednym salonie znajdzie się portret Ludwika Eignera. A przecież choć ma on w różnych kołach wielbicieli swego talentu, jednak szersze warstwy nie znają charakteru jego twórczości. Złożyła się na to zwłaszcza ta szczególna okoliczność, że szereg lat życia spędził Ludwik Eigner w Rosji, skąd wrócił już po przewrocie bolszewickim.

Uczeń Axentowicza, wychowanek akademii krakowskiej, znalazł się niespodzianie, ogarnięty przez wojska Brusilowa, w głębi Rosji, gdzie już to w Moskwie, Astrachaniu czy Kijowie spędził szereg lat, obserwując życie kolonij polskich a zwłaszcza przypatrując się doli i niedoli polskich wygnańców. Z tego okresu pochodzą, niestety, pozostałe w Rosji wielkie kompozycje, odzwierciedlające tragedję polskich tułaczy z czasów wojny (fragment jednej z tych kompozycji, wraz z portretem artysty podajemy tutaj).

Jakkolwiek walka o byt, utrudniona chaosem czasów wojny i przełomu społecznego, wytrącała właściwie z ręki artysty-tułacza pędzel i zmuszała do różnych innych zajęć, już to jako pedagoga, już to działacza społecznego, jednak Eigner nie sprzeniewierzył się Muzie. Owszem, staje zawsze na apel sprawy publicznej, czy to jako czynny i ofiarny przedstawiciel komitetu rewindykacji mienia i zabytków polskich (wystarczy powiedzieć, że odebrał bolszewikom kronikę Marcina Bielskiego), już to jako emisariusz



plebiscytowy na Śląsku — pamięta jednak przedewszystkiem, że powo-



łunim jego jest sztuka. Jej też służy bezkompromisowo, z entuzjazmem i co istotne — z talentem.

Z, pod kierunku Axentowicza wyniósł subtelność, wytworność i precyzję techniki malarskiej, z bogactwa swej duszy umiłowanie barwy i zrozumienie kształtu.

To też, gdy patrzymy na studja portretowe Eignera, zadziwia nas wirtuozjerja i finezja rysunku i barwy, wrażliwość na najmniejsze nawet odcienia kolorystyczne, zdolność oddawania nieomal niedostrzegalnych wibracji koloru, intensywnie naświetlanego. Karnacje twarzy portretowych mają coś więcej od wiernego naturalizmu, przesycone są światłem żyją, bije od nich ciepło.

Artysta z prawdziwą pasją muska każdy szczegół charakterystyczny portretowanej osoby, jednym znaczącym pociągnięciem rozjaśniając ją uśmiechem, pełnym pogody i głę-

bi. Nie jest to więc stereotypowy grymas, „upatrzonej ofiary”, jest w tem podpatrzona istotna, najgłębsza treść człowieka, jest w tem jakaś melancholijna radość, płynąca z wewnętrznej kultury. Wyrazić poprzez maskę twarzy — duszę ludzką — to przecież ideał plastyki.

W pejzażu Eigner hołduje umiarkowanemu naturalizmowi, uzupełnionemu tendencjami impresjonistycznymi. Dąży więc do oddania nastrojowości przyrody w różnych jej fazach i przeobrażeniach. Zawsze z przyjemnością podziwiam dwa pejzaże, przedstawiające wyciągniętą linię drogi, roztapiającej się na horyzoncie w zarysach lasu. Artysta przez subtelną grę kolorystyczną wydobywa z tego prostego elementu raz nastroj rozświetlu, drugi raz zmierzchu:

Ludwika Eignera czeka jeszcze lat wiele pracy artystycznej, która, sądząc po dotychczasowych zapowiedziach, będzie bogatą i owocną. J. Cz.



DON JOSE ST. NOARRO.

MIĘDZY 6 A 12 RANO

Z CYKLU „GOŁĘBICA I JASTRZĘBIE“.

Mr. Hollivay miał, co się zowie, strapioną minę, czytając „Gazette du Suisse“, donoszącą, że zginął bez wieści; on, wielki detektyw, zginąć nie mógł, ale swoją drogą zawieruszył się tej nocy w sposób trochę niefortunny. Ostatecznie ta przygoda z hr. Amalvi, nie byłaby znów tak niezręczna, gdyby nie to, że skończyła się fatalnie. Dostał poprostu po głowie, wyrzucono go za drzwi i nie mógł nawet się pocieszyć tem, że wiedział, gdzie znajdują się te tak niegościnnie drzwi. Ba! W tem właśnie sęk!

Trapiony temi refleksjami Hollivay, usiadł w pobliżu ławki, na której go porzucili służaicy Amalvi.

— Co robić? — zapytał się w duchu.

— Przepraszam bardzo! Czy mogę w pobliżu pana usiąść? — wyrwał Hollivaya z zamyślenia jakiś miły, męski głos, drgający siłą i młodością.

— Proszę bardzo! — rzekł odruchowo i rzucił okiem na stojącego przed nim mężczyznę w stroju dozorczy miejskiego.

— Bardzo jestem rad, że wywołałem wyraz zdumienia na twarzy wielkiego Hollivaya — rzekł nieznajomy z przyjaznym, choć nieco ironicznym uśmiechem. — Ale to już taki pana pech tej nocy „zdumień i przerażeń“ — jakby powiedział poeta.

— Odkąd to poeci chadzają z miotłą miast z tyrmem w ręku? — odparł cieplej Hollivay, skłonny już brać życie nie tak smutno.

— Niejeden poeta nie godzien nawet żeby go miotłą wymieciono z Parnasu. Co do mnie, to napewno przynoszę zaszczyt tej miotle — śmiał się wesoło i przekornie nieznajomy. — Pan pozwoli, skoro znam już jego nazwisko!

— Ba, skąd pa je zna? — wtracił Dzems.

— To potem wyjaśnię, ale teraz się przedstawię. Jestem hrabia Zawucki.

— Powiniennem zapisać się do towarzystwa heraldycznego — śmiał się Hollivay — w ciągu ostatniej nocy już druga mitra zaszczyca mię swemi względami. Co prawda, od łask pierwszej boli mię jeszcze dotąd głowa.

— Falszywa mitra, jak fałszywe wino sprawia ból głowy.

— Czyżby Amalvi nie była hrabiną? — spytał odruchowo Hollivay.

— Napewno nie jest! — odparł Zawucki.

— Skąd pan to wie? — zdumiał się detektyw.

— Miałem i ja, niestety, wątpliwą przyjemność zapoznania się z twardymi pięściami jej służby.

— Czy Amalvi wszystkich swych znajomych w ten sposób traktuje?

— No nie, ale napewno tych wszystkich, którzy za bardzo chcą zgłębić jej tajemnice.

— Więc i pan, hrabio, wie coś o tem?

— Wiem, wiem i interesuję się wszystkim i wszystkimi, którymi interesuje się Amalvi.

— W jakim charakterze? Sprzymierzeńca czy wroga Amalvi? — nasrożył się Hollivay, który uznał,

że rozmowa z tym „hrabią z miotłą“ zaprowadziła go za daleko.

— Nie zawadzi być nigdy za ostrożnym — wtracił Zawucki. — Kto się na gorącym sparzył, ten na zimne dmucha.

— Ale a propos gorącego — mam chęć na śniadanie. Możebyśmy je zjedli wspólnie, o ile pan hrabia stale nie przebywa w tej skórce zamiatacza.

— Zgoda! Spotkamy się w „Café des Nations“.

— Dobrze, o wpół do dziesiątej. Ja tymczasem zajrzę do polskiego poselstwa a także redakcji.

— Nie oponuję. Ale mogę panu opowiedzieć w dwu słowach, co tam się stało. Zwabiono podstępem woźnego poselstwa, gdy szedł z tekstami depesz i podsunięto mu sfałszowaną notę. Jednocześnie jacyś nieznani sprawcy zablokowali telefony.

— Ho, ho — hrabio, pan się doskonali w wywiadzie.

— Z amatorstwa i z życiowej potrzeby, drogi kolego po fachu — odparł wesoło młodzieniec.

— No a teraz Adieu, bo już zaczynają na nas zwracać uwagę. A nie wypada, by J. Hollivay pospolitował się z zamiataczem ulic.

Rozstali się. Hollivay skoczył do taksówki i kazał się wieść najpierw do redakcji. Tu w paru słowach przedstawił dyżurnemu sekretarzowi swe nocne przygody. Redaktor zawiadomiony, ciekawie wypytywał przez telefon o różne szczegóły. Zgodnie postanowiono ogłosić w najbliższym wydaniu komunikat, że jedno z sąsiadujących z Polską mocarstw przyczyniło się do sfałszowania polskiej noty. Następnie Hollivay pojechał do domu wziął tusz i odświeżony, wzmocniony filiżanką czarnej kawy i przekąską, pośpieszył do poselstwa polskiego. Było 10 po 8-ej, gdy wstępował po schodach ambasady. Ostatnie rewelacje prasy postawiły wyjątkowo wcześniej wszystkich urzędników na nogi.

— Co słyhać? — zapytał detektyw woźnego.

— Niewesoło! — odparł cerber.

Hollivay kazał się zameldować sekretarzowi.

— Jak doszło do opublikowania fałszywej noty?

— O, to cała, wprost romantyczna historia. Wyślaliśmy woźnego z notą. Na ulicy ktoś tak mocno go potrącił, że wypadła mu teka. Niefortunny przechodzień uprzejmie ją podniósł i podał woźnemu. W tym właśnie momencie zamieniono teki z notami, które były w sposób identyczny przepisane na naszych blankietach. Woźny zauważył jedynie, że ów jegomość miał wielką pelerynę, pod którą zapewne dokonał zamiany.

— A jak było z telefonami?

— Od paru dni źle funkcjonowały. Zażądaliśmy więc montera. Wczoraj już po zamknięciu biura zgłosił się jakiś monter. W rezultacie jego wizyty telefony zupełnie umilkły.

— Doprawdy? — zdumiał się Hollivay. Pan pozwoli, że obejrzę aparat. — Podeszedł do biurka. Sznur był w porządku, zato dzwonek unieruchomiła pod-

kładka z waty, a słuchawki były rozkrecone. Hollivay dokonał małej naprawy i połączył się z centralą.

— Czy biuro naprawy wysyłało wczoraj montera do ambasady polskiej?

— Wczoraj nie, ale mieliśmy to zrobić dziś rano.

— Oto i mamy wyjaśnienie zagadki: Ktoś dobrze poinformowany wykorzystał moment i kwita.

Hollivay pożegnał sekretarza ambasady i spacerem podążył na spotkanie z hr. Zawuckim. Nagle wpadło mu do głowy, czy przypadkiem w ambasadzie polskiej nie znają tego nazwiska, które niewątpliwie było polskie, a w każdym bądź razie słowiańskie. — W ambasadzie nie wiele mu powiedziano. Nikt — zdaje się — tego nazwiska nie był w Genewie meldowany. W Polsce zaś hrabiowie Zawuccy, znani byli jako przedstawiciele magnaterji kresowej, wywodzącej się z dawnych „królewiat Ukrainy“ — jak to, ze śmiechem referował sekretarz.

Hollivay, wpadłszy już w trans weryfikowania różnych faktów, odniósł się jeszcze do prezydum policji, czy nie znana jest tam dama, używająca tytułu hr. Amalvi. Ku jego zdumieniu poinformowano go, że właśnie przedwczoraj hr. Amalvi zameldowała o kradzieży czy też zgubie cennej broszki.

— Nie, to niepojęte! Co za czelność. A adres jest?

— Owszem, mamy i adres.

— Niech panowie wezmą pod obserwację tę całą fałszywą hrabinę — to groźny szpieg — zawyrokował Dżems.

Za chwilę wstępował w progi „Café des Nations“.

Zajął stolik na uboczu i zamówił obfite śniadanie: jaja z szynką, specjalność synów Albionu, herbatę, keksy.

W tym momencie podszedł do niego wytworny młody pan, w którym nie bez zdumienia rozpoznał owego zamiatacza ulic.

— Bez komplementów, ale ten strój jest więcej dżentelmeński, a niewątpliwie nie mniej go pan zdobi, jak swą poranną pyjamę zamiatacza — śmiał się przyjaźnie Dżems.

— Cieszę się, że sprawa to panu satysfakcję — odparł żywo hrabia. — Przyznam, że również i mnie.

— Czemuż więc nosił pan ten worek, w którym miałem go zaszczyt poznać?

— Konieczność „zawodowa“ — mówił Zawucki. Ułatwiło mi to przeprowadzenie wczoraj małego wywiadu, no i dało sposobność do poznania pana.

— Bardzo jestem zobowiązany. Żałuję, że nie mogłem przyjąć pana w mych apartamentach, lecz na ulicy — śmiał się Anglik.

— Och, niema piękniejszego apartamentu od tego, któremu niebo służy za sklepienie. Gdyby pan widział cudne niebo lipcowe nad ukraińskimi stepami, nie chciałby pan go zamienić nawet na strop z sądem ostatecznym Michała Anioła.

Anglik milczał, jakby zaskoczony tym porywem zachwytu poetyckiego.

— Nie spodziewał się pan usłyszeć tego od człowieka, który w stroju zamiatacza trudni się badaniem cudzych tajemnic.

— No nie — zaprzeczył Dżems.

— A jednak... Lecz niech pan wie, że niema bardziej wzniosłej, a zarazem przerażającej swym ogromem tajemnicy od tej, którą może wyczytać człowiek,

spoglądając w gwiazdzone niebo, jasną letnią nocą. Ten szyfr Boskich prawd porywa nas swym urokiem i potęgą. Oto czego rozwiązaniem godzi nam się zająć — mówił w poważnym skupieniu.

— Muszę wierzyć, gdyż mówi pan z takim przekonaniem, że ja, syn mglistego Albionu, któremu niebo, niestety, nie tak jasnym raczy się przyglądać okiem, gotów byłbym pojechać do jego ojczyzny, aby zatopić wzrok w jej firmamencie — ciągnął Dżems poważnie, dostrajając się do nastroju swego towarzysza. Mam jednak wrażenie, że to nie sama astronomja doprowadziła pana nad genewskie jezioro i wetknęła szufłę w rękę.

— Zapewne, zapewne — śmiał się hrabia. Ale zawiadło mię tu to samo prawo, które rządzi gwiazdami i sercami ludzkimi: prawo miłości. Ja, wygnaniec z własnej ojczyzny, pozbawiony domu, skazany na śmierć przez obecnych jej okupantów — musiałem wystąpić do walki i posługiwać się takimi środkami, jak tego okoliczności nakazują. Ale, gdy tak bawię się w lirykę, pan tymczasem umiera zapewne z ciekawości, aby się dowiedzieć co i jak? A więc do rzeczy: Przed wojną rodzina moja posiadała znaczne dobra na Ukrainie, jak i inni przedstawiciele szlachty, wogóle tysiące Polaków reprezentowaliśmy tam kulturę zachodnią. Gdy bolszewizm zaczął szaleć, całą nienawiść obrócił przeciwko wszystkim burżujom, a zwłaszcza polskiemu ziemiaństwu. Ledwie udało mi się z duszą uciec. Już wówczas, lat temu dziesięć przeszło, zetknąłem się z hr. Amalvi, recté Anną Suzin, pochodzącą z bardzo dobrej rodziny, ongiś znaczącej i zamożnej. W jaki sposób i dlaczego Anna stała się powolną służką Sowieców, tego dokładnie nie udało mi się stwierdzić. W każdym bądź razie w robocie szpiegowskiej jest wybitną siłą, cenioną przez czerwonych carów.

— O tak — wtrącił Dżems — oddała im niejedną poważną przysługę.

— Jej działalność często zahacza o sprawy polskie, a to już mnie interesuje z wielu względów, jako patriotę przede wszystkim, a następnie jako obywatela Ukrainy. Jestem na tropie ważnego odkrycia, dotyczącego planów sowieckich co do Ukrainy. Tego wieczora, kiedy pan odwiedził hr. Amalvi, śledziłem jej dom w przebraniu zamiatacza. Zdumiałem się, gdy z jej limuzyny wysiadł pan. Cóż to, Dżems Hollivay zmienił kolor sztandaru? — rzekłem. Musimy to sprawdzić. Mijały godziny. Nagle zajechał ten sam samochód i załadowano doń podłużny toboł. Ocho, nasz wielki Dżems już został spreparowany. Pobiegłem za autem. Oczywiście trudno mi było nadażyć. Aż nagle szczęśliwy zbieg okoliczności pozwolił mi spotkać pana.

Dżems słuchał z uwagą tych wynurzeń.

— To zaczyna być interesujące — rzekł z flegmą. A propos — co teraz może robić nasza dobra znajoma hr. Amalvi?

— Poleciłem to sprawdzić — odparł Zawucki. Od tego zależy dalszy nasz plan postępowania. W każdym bądź razie mogę panu pogratulować, że wyszedł pan cało z przygody. Amalvi nie zawsze bywa tak wytworna.

— No, nie mogła chyba za bardzo ryzykować. Dżems Hollivay, to nie szpilka do włosów.

— O widzę, że i pana urzekły włosy Anny.

— Jeszcze nie — zaśmiał się Dżems.

ZYCIE SŁOWIAŃSKIE.

Koło przyjaciół Polski w Pradze, skupiające zwolenników idei czechosłowacko-polskiego zbliżenia kulturalnego, gospodarczego i politycznego, urządziło dnia 26 stycznia r. b. odczyt czechosłowackiego ministra handlu dr. J. Matouska o czechosłowacko-polskich stosunkach gospodarczych. Dr. Matousek mówił, że za zbliżeniem czechosłowacko-polskiem przemawia przeszłość i terażniejszość. Pokrewieństwo językowe i sąsiedztwo już w średniowieczu były przesłankami licznych projektów i prób wytworzenia jedności politycznej.

Po wojnie światowej, kiedy odbudowana została samodzielna Polska i kiedy odnowione zostało państwo czeskie, ten sam traktat pokojowy stał się magną chartą granic obu państw.

Po wstępie historycznym, nacechowanym głęboką serdecznością, minister Matousek przystąpił do omówienia warunków ścisłej współpracy gospodarczej obu narodów słowiańskich. Omówiwszy dotychczasowy rozwój stosunków gospodarczych, stwierdził minister Matousek, że do rozwoju tego w znacznym stopniu przyczyniły się korzystne taryfy kolejowe i żeglugowe. Od roku 1927 wywieziono z Czechosłowacji do Polski towarów za około 800 milionów koron cz. Ze względu na znaczny dówóz surowców, półfabrykatów i środków żywnościowych z Polski (za 1 200 milj. koron) rocznie, bilans handlu zagranicznego z Polską wykazywał od roku 1927 pasywa na sumę 400 milj. koron rocznie. Po raz pierwszy w roku 1930 pasywa te zmniejszyły się na 240.9 milj. koron. Ogólny obrót w roku bieżącym zmniejszył się w stosunku do roku ubiegłego o 50%, a to z powodu kryzysu gospodarczego. Z końcem września obrót handlowy polsko-czechosłowacki wykazuje po stronie czechosłowackiej pasywa około 151 milj. koron. Pod koniec ubiegłego roku w obu państwach wskutek kryzysu gospodarczego poczynione zostały niektóre zarządzenia zapobiegawcze. W Polsce podniesione zostały niektóre cła na towary, dowożone głównie z Czechosłowacji. Ostatnio w kołach gospodarczych Polski mówi się, że jeszcze w roku bieżącym wejdzie w Polsce w życie ustawa o podniesieniu taryfy celnej. Aczkolwiek Czechosłowacja korzysta z klauzuli największego uprzywilejowania, to przecież stała podwyżka ceł autonomicznych, dotyka znacznie wywóz towa-

rów czechosłowackich do Polski. Współczesne stosunki gospodarcze czechosłowacko-polskie nie rozwijają się tak, jakby tego interesy obu państw wymagały. Przeszkód należy dopatrywać się w dzisiejszym światowym kryzysie gospodarczym i finansowym, który pociągnął za sobą niektóre zarządzenia zapobiegawcze. Z biegiem czasu te zarządzenia będą złagodzone.

Mówiąc o popieraniu eksportu, minister zaznaczył, że etatyżacja poczyniła w Polsce zbyt wielkie postępy. Ale obecnie i tam powstaje reakcja przeciwko tego rodzaju upaństwowianiu handlu. Również czechosłowackie izby handlowe wypowiadają się za wolnym handlem i przeciw zbyt wtrącaniom się państwa.

Czechosłowacja i Polska są w tem dobrem położeniu, że mogą z sobą współpracować. Oba państwa pod względem gospodarczym wzajemnie się uzupełniają. W Czechosłowacji przeważa przemysł, w Polsce rolnictwo. Dla obu można znaleźć rynki zbytu. Istnieją zapewne liczne kwestje sporne, ale kwestje te mogą być rozwiązane na korzyść obu państw. Odczyt ministra Matouska nacechowany był optymizmem i wiarą w lepszą przyszłość obu państw.

INSTYTUT DLA GŁUCHONIEMYCH I OCIEMNIAŁYCH — WARSZAWA, PL. TRZECH KRZYŻY.

„Społeczeństwo za mało się nami zajmuje i za mało okazuje nam serca” — Są to słowa, któremi dyrektor instytucji, p. Stefan Łopato, zagałł swoją pogadankę, wygłoszoną słuchaczkom Szkoły Pracownic Społecznych. Moi wychowankowie biedni, upośledzeni przez los odczuwają, że ludność stolicy unika tego zakładu.

Zakład powstał 114 lat temu z inicjatywy Stanisława Staszycza. Ks. Falkowski po powrocie z zagranicy został dyrektorem tej instytucji i położył niepospolite zasługi na niwie tej zbożnej fundacji. Po śmierci ks. Falkowskiego był dyrektorem p. Wysoczeki, — po nim został dyr. Jan Papłowski i starsi ociemniali pamiętają światłą postać ostatniego, bo umarł dopiero w 1885 r. Po nim rządili Rosjanie. Z wybuchem wojny światowej w 1914 r. ewakuowano zakład, wyjechali w głąb Rosji nauczyciele, ociemniali i głuchoniemi, a rząd rosyjski pozabierał najcenniejsze urządzenia, których brak zakład odczuwa dziś jeszcze. Z chwilą uzyskania wol-

ności 1918 r., dzieci i opiekunowie powrócili do Polski, lecz w zmniejszonej znacznie liczbie, i odtąd lekarz, dr. Jarecki, przez 11 lat opiekował się instytucją. Półtora roku po jego ustąpieniu ze stanowiska i od dwóch lat dyrektor Łopato zajmuje się gorliwie wychowankami. Instytucja została przez władze polskie upaństwowiona, — istnieje dziś jako 7-mio klasowa szkoła-internat, są i wychowankowie przychodni, co wpływa dodatnio na psychikę ociemniałego i głuchoniemego. Jest to więc system podobny temu, jaki praktykuje zarząd w Łaskach pod Warszawą. Tam bowiem ociemniali pozostają już do końca życia, tworząc odrębny świat swój.

Dla zapoznania ze statystyką ociemniałych w całej Polsce, podano nam następujące cyfry: W całej Polsce jest 19 200 ociemniałych. W wieku szkolnym około 2000. Uczy się tylko 11½%, około 323 dzieci. Ociemniałych na wojnie około 700 osób, (na całym świecie 15.000). W instytucie w Warszawie jest 66 ociemniałych, z tego 13 dziewcząt i 53 chłopców. Jest oprócz szkoły powszechnej 7-mio klasowej z internatem i szkoła muzyczna, dział koszykarstwa i szczerkarstwa.

Dlaczego tak minimalna ilość ociemniałych w wieku szkolnym korzysta ze szkoły zakładowej w Warszawie? — Przyczyną tego zjawiska jest przede wszystkim to, że ociemniali przeważnie pochodzą z rodzin ubogich,

Interesujące jest zapoznać się z psychiką ociemniałego. Rzadko posiada on łagodny charakter, jest to pesymista, wrażliwość ogromna — to też postępuje się z nimi stanowczo, nie rozpieszczając. Dyrektor stwierdza, że zespół nauczycieli w instytucie stoi na wysokim poziomie. Stara się niczem nie zdrasnąć wrażliwości biednych, ślepych, nie mówi się o ich ślepcie, traktuje się ich, jak zdrowych.

Dla rozrywki urządza się ze starszymi wychowankami wycieczki. Złata temu byli w Zakopanem, choć nie widzą, zachwycają się górami, powietrzem, przestrzenią i przyrodą, którą odczuwają. W tym roku byli w Wilnie i w Puszczy Białowieskiej. Co tam widzieli, opisuje 18-letni wychowanek, Feluś Woźniak, w bardzo pięknie ujętem opracowaniu

89 lat temu ks. Szczygielski przyczynił się do powstania instytucji, jedynej tego rodzaju w całej Polsce

T.

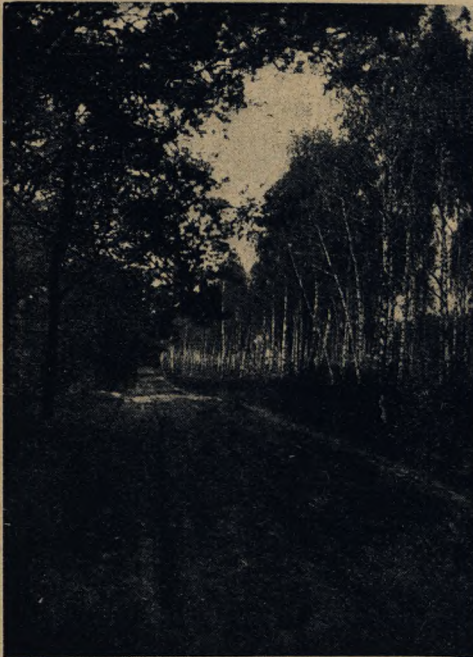
TECZA NAD LASEM

Jak tęcza rozświetliła nad lasem niebosiężny nimb swój królowa poezja. Rozjaśniła mroki puszczy, unosząc z głębi kniej wieczyste tajemnice. Nie zmarnowała nic z tych

poetycznego natchnienia, kraina poezji.

Las i poezja... To nie prosty tylko dźwięk słów. To skojarzenie myśli, uczuć i przeżyć, płynących jak gdyby z jednego źródła. To mocny, misternie zestrojony akord. Akord przedziwnie harmonijny, kiedy mowa zwłaszcza o poezji polskiej. Bo zrodził ją

Las dla poety — to Eldorado podniety artystycznej, kolebka potężnych wzruszeń i czarownej muzyki słów. Hojnie zapładnia on twórczy umysł, dostarcza mu niewyczerpanych tematów lirycznych. Zaklęte w lesie królestwo cudów porusza najczulsze struny jego serca. Budzi w nim moc rozkoszy estetycznych. — Przemawia doń harmonją barw, symfonią



Fot.
Blonarowicz
1932.

skarbów. Wszystkie je przekazała ludzkości, bo winna jest lasom natchnienie.

Natchnienie — łaska wielka i niepojęta — uskrzydla myśl, wznosi ducha na wyżyny twórczości. Jest nieśmiertelnym sprzymierzeńcem poezji i poetów. Jak obłok lotny rodzi się często na łonie natury. Im wspanialsze są jej twory, tem głębszą dają moc wzruszeń. Tworem takim o mocach niezgłębionych jest las. I dlatego stał się on nigdy niewyczerpanym źródłem natchnienia, źródłem poezji. Las — to dar Boży. — Wielki, potężny, majestatyczny, wszystkim znany i bliski, trwający od zamierzchłych czasów. — Idą, zmieniają się pokolenia... Tysiące już przemigły, przychodzą na świat nowe, wzrastają, starzeją się, wymierają. A las trwa. Wciąż pozostaje symbolem wiecznego życia.

Poezja jest celem tego życia, lasu czarującą siostrzycą. Istnieje od wieków — żywotna, potężna, piękna jak las. Jak las w niespożytej przyrodzie, żyje ona zawsze w piersiach ludzi szlachetnych i czystych sercem.

Las, to Parnas zielony. Dziedzina Polihymnji i Euterpe. Przybytek

i wykołysał szum leśnych drzew.

Las jest szczodry dla wszystkich. Każdemu otwiera na ścieżaj skarbnice swego piękna. Każdemu, kto tylko umie patrzeć i czuć. Nie dla wszystkich jednak staje się on krynica wzniosłych wrażeń. Nie wszyscy potrafią przeniknąć najsukrytsze głębie jego tajników. Ludzie zwykli — strudzeni i łaknący, zgnębieni i smutni, często znajdują w nim tylko wypoczynek. — Czasami zapomnienie trosk. Radość. Ukojenie. Niekiedy pokarm duchowy.

Dla poetów las jest czemś nierównie większym. Poeta — to piękno duch, o silnej wyobraźni twórczej, o wysubtelnionej intuicji artystycznej. Widzi oczami twórcy. Czuje górnice. Patrząc skroś niewidzialne zasłony wchłania wdzięczne tworzywo poetyckie. Przeżywa w podniosłym nastroju ducha. Tworząc, przenosi nas w krainę własnych przeżyć i myśli. Ukazuje prawdziwe piękno. — Rozpłomienia tęczę nad lasem.



dźwięków, misterną grą światłocieniów. Zachwyca bogactwem postaci i form, wymową szmerów, skrzypów tajemnych i smętnych szelestów. Otwiera mu bajeczny świat pieśni i tętniącego życia miliona niedostrzegalnych stworzeń, zniewala go uro-

kiem, co tkwi w każdym drzewie, w każdej roślinie leśnej. Nęci głuszą przepastnych ostępów, czaruje echem trąb i ogarów, echem puszczy...

Stąd prastare pokrewieństwo lasu i poezji polskiej. Cała nasza twórczość poetycka rozbrzmiewa wspaniałym hymnem na cześć lasu. Od zaraniania do dni ostatnich.

Bujny nurt liryki polskiej niósł korny hołd lasom poprzez wszystkie czasy i formy twórcze. Pieśń lutnia o lesie rozteńczyła się nad nim blaskiem precyzyjnych klejnotów. Wszyscy niemal poeci, od Kochanowskiego do liryków nowoczesnych, wielbili w swoich utworach las i jego krąsę.

W utworach tych dostrzegamy bijące z każdego wiersza umiłowanie tego lasu, co „staje się piękniejszym droższym w każdej dobie, zachwyca ciszą, szumem, gęstwiny swej wzrokiem”. Poeta napawa się w nich dziwną grą uczuć, gdy „po gałęziach coś szepce, coś gada... w sercu kołaczę, śmieję się, płaczę”: Rozkoszuje się zmiennymi obrazami przyrody leśnej. Widzi, jak, z rodzącą się wiosną, gdy „lasów bóg, strząśł zwiędłe liście z głowy, i z świeżych sobie splótł wian dębowy”, rozgosczeni „śpiewacy leśni budzą się pierwsi do swej dziennej pracy i zaczynają rozwodzić swe pieśni”. A gdy „idzie lasem maj, — brzeziny szumi gaj po rozłogach kwiaty rosną, pachnie cudem, pachnie wiosną”.

W lesie — „szmaragdem słońce błyska na ciemnej drzew zieleni”, a „rozpar słoneczny wydobywa z kwiatów ogień śmiertelnie silnych aromatów”. W ciemnym pachnącym lesie „sto dębów szumi wraz, sto dębów mgłą przerzyna wpływ, złotą, słoneczną, letnią mgłą”.

W dąbrowie czuje się wtedy poeta „królem, ma dwór swój: skierki i chóchliki, koralowe biedronki, szmaragdy — koniki i żabki. Ma kobierce miękkie, aksamitne, utkane w nie zabudek turkusy błękitne”. Niespodziany wśród tych cudów i pogody deszcz letni „pada lekko, perliście, w srebrnych, słonecznych rozświetlaczach”. Zda się, że „ktoś cicho płacze nad lasem”. Czasem przywędruje kapryśna burza letnia i „zadygocę strop niebios pod błyskawicę zgrzytem”, a „wicher ciężkim kopytem łamie stare dęby, szarpie lasów okiście”...

Burza przemija. Na lasy spływa pogodna, uroczysta cisza. Wdzięczne „echo biegnie wśród zieleni; jak złota strzała, ślizga się w gąszczu, niby snop promieni” i gra w lesie o kochołku.

Wieczorem wznawia się szum drzew i cicho przypląwa „jęk, wszczęty w sosnach na krawędzi lasu”, który „wnet ogarnia wszystkich drzew konary, spowite w ciszy letniego wieczoru”.

Zwolna zapada noc letnia „czarodziejsko cicha”, pełna uroku, gdy „księżyc osrebrza brzozy”, a „u stóp ich senny strumień migocze w leśnej debrze” i wszystko spoczywa „w miesięcznym, chłodnym srebrze”.

Lato się kończy, ale i wtedy jeszcze, gdy „z traw wonie biją ku górze”, „jak kadzideł kłęby”, ślicznie wyglądają poręby, co „nad lasu brzegiem, jak ciche śpią cmentarzyska”, a „słońce promieni snop ciska na pniaków zręby”.

Jesienią „na stokach góry spoczął las brzozy i milczy... milczy... widać mu nie daną, ażeby skargą jęknął rozplakaną nad wieńcem liści, wędnących u głowy”. Zastłuchany w mistyczny ten spokój, pyta się poeta „co wy wiecie drzewa, że stoicie w czas skonu spokojne, a liść złoty wasz o słońcu śpiewa w mrok się sypiąc jak złota ulewa”?

I kiedy „z drzew polecą liście, kiedy się niebo w krąg osmęci, a mgły zaleją świat rześńście i wszystko zgaśnie w niepamięci”, owiana tęsknotą dusza poety nastroja się na nutę lasu. Pragnie spokoju i milczenia.

Umiera jesień. W lasach królujecie wszechwładna zima. Zima, przybrana w przepyszne królewskie gronostaje. Wszędzie widnieją zadumane okiście przystrojone postacie. Wszędzie powierzchnie białych, jednostajnych śniegów. Gdzie zaś „była łączka zielona, gdzie gaj rozkoszny brzozy, drzew obnażone ramiona sterczą z pod zasy pył śniegowej”.

Tak oto w małej zaledwie garstce wyjątków z utworów poetów naszych, odmalowany jest las w różnych przejawach swego życia.

Że las i drzewa są źródłem natchnienia poetyckiego, wyznaje wielokrotnie w swej nieśmiertelnej eposie Mickiewicz:

„Wszak lipa czarnoleska, na głos Jana
[czuła
tyle rymów natchnęła, wszak ów dąb
[gadula
kozaakiemu wieszczowi tyle cudów
[śpiewa.

Ja ileż wam winienem o domowe drzewa.
...Ileż w waszej ciszy upolowałem dumań,
gdy w dzikim ostępie, zapomniawszy
[o lowach,
usiadłem na kępie...

Tęskniący za lasem Kasproicz, jest z nim w twórczym przymierzu. Jakże niezmiernie jest mu bliski, gdy

zastłuchany w wichry hulające po kniei, woła:

„Wicher najszczęśliwym przyjacielem zwi-
[się,
bo najszumniejsze melodje dobywa
z mej i z twej piersi, o rozgrany lesie”.

Gomulicki, unosząc się w zachwycie nad lasem, patrząc na

„drogie przedze i klejnoty
[ptaszek ze słońca szczerzo-złoty,
stroje z perel i atlasu...
[tęczowymi lśniących farby”, zapytuje
[zdziwiony:
czyjeż, czyje są te skarby”?

a w odpowiedzi i ptaszek śpiewa i owad brzęczy, trawy szepcą, słońce mówi, drzewa szumią, a nawet kupiec głos zabiera, że każdy z nich ma prawo największe do lasu.

Inaczej sądzi poeta:

„i pilnie uważa,
co wasale gwarzą leśni,
potem wszystko wkłada w pieśń
i w tych pieśniach las odtwarza:
las w nim śpiewa, las z nim gada —
czyż nie on to lasem włada?..

U rozmiłowanego w lesie piewcy przyrody Kazimierza Tetmajera, wydobywa las z piersi potężny hymn czci i miłości:

„ciemny, pachnący wielki las,
ile tu kwiatów, ziół i traw,
jak złotem ku mnie błyszczy mech,
ile tu duchów lata wkrąg,
jak błyszczą skrzydła pośród drzew
o, Boże, co za cud i czar;
idzie, o idzie z ziemi zew,
z pachnącej ziemi, z wonnych par,
o wonny, święty, wielki las;

Ejsmond, — jeden z najmłodszych poetów puszczy, wiernych jej aż po kres życia, pożegnał tę kolebkę pieśni natchnionych hejnałem uwielbienia:

„Puszczę, twojego serca głębia tajemnicza
pełna jest cudów, jako wiersze Mickie-
[wicz...
Kolumnami drzew nieba sięgająca pował,
Puszczę, Świętynie, którą sam Bóg wy-
[budował.

Rozkochany był w kniei i uczył ją niezrównaną pochwałą za to, że

„dusza w niej od nadmiaru radości
[omdlewa,
a każda myśl tak prosta jest, jak leśne
[drzewa,
a serce każdym swoim uderzeniem
[śpiewa”.

Poezja polska sławi nie tylko las, jako źródło niespożytego piękna i skarbnicę natchnienia, opiewa ona również każde niemal drzewo.

Już w poezji Kochanowskiego ulubiona lipa mistrza tak oto gaworzyła:



Fot. Ol. 1932.

„Gościu, siądź pod mym liściem a od-
[poczniesz sobie,
nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja
[tobie
a swym cichym szeptem sprawić umiem
[śladnie,
że człowiekowi łatwo słodki sen przypad-
[nie.

Znacznie później Wezpazjan Kochowski zwraca się do jaworu:

„kosztowne drzewo, wdzięczny jaworze,
ty chociaż w głuchym się urodził borze,
przecie natura tem cię uczciła
żeś dała głosu pięknego siła”.

Poezja opiewa i wierzbę smętną —
posępne drzewo ponad rzeką i dąb
mocarny, co „po kres jesieni szumi
pieśnią swych konarów” i upiętrzoną
jodłę, co „jako wawrzyn, wiecznej
chwały godło”. Ileż znamy pieśni
o limbie samotnej, o świerkach stroj-
nych, o smutnych topolach i innych
drzewach bez liku.

A króluje wśród nich niepodziel-
nie ozdoba lasów rodzinnych, so-
sna — palma północy, wraz z polską
brzozą — smętną i dziewiczą. One
to najsilniej zawładnęły sercami poe-
tów i ujarzmiły rozśpiewane ich du-
sze.

„U stóp ja twoich leżę, sosno niebotyczna,
i patrzę na wyniosłe twe zielone szczyty
i płuca mi rozszerza twoja woń żywiczna,
a myśl — jak rozbujany ptak — leci
[w błękity

mówi jeden z wielu jej piewców —
Antoni Lange.

Leopold Staff wyznaje:

„z ciemnych mojego lasu drzew jedno
[najcichsze
ukochałem, najbardziej smutne i naj-
[wiotsze:
brzozę, co nie szumiała w najszaletszym
[wicherze
zawsze niema, choć wiatru wiew się o nią
[otrze.

Niemniej silnie występuje piękno
lasu w utworach literackich, pisanych
mową niewiązaną.

Sienkiewicz w „Sielance”, Wey-
senhoff w „Sobolu i Pannie”, Zabo-
rowski w „Sercu Kniei”, Żeromski w
„Puszczy Jodłowej”, Ejsmond w „Ży-
wotach drzew” — wszyscy oni są od-
twórcami wyczarowanych obrazów z
życia lasu.

I chociaż nierymowana, jest to
przecież poezja wzniosła i czysta.
Poezja z serc polskich wysnuta, a
miljonom serc polskich bliska i zro-
zumiała.

Oto dźwięk wieków melodji lut-
nianej, płynącej z naszego Parnasu
zlewa się z szumem drzew. Unosząc
się ponad puszcze i knieje, jaśnieje
promienną aureolą. Jak tęcza...

Leonard Chociłowski.



PRZEZ ALGER

(WSPOMNIENIA Z WĘDRÓWKI).

(Ciąg dalszy).

Północno-zachodnia strona miasta ma wąskie, ciasne uliczki o charakterze wschodnim, wszystko to jednak leży dyskretnie na boku, tak, że Alger robi raczej wrażenie stolicy europejskiej.

Oczywiście na ulicach roi się od kostjumów arabskich, co odrazu przypomina północną Afrykę. Z powodu przyjazdu prezydenta zjechało nawet do miasta wielu effendich z prowincji. Idzie trotuarem siwobrody maż, owinięty od stóp do głów w śnieżno-biały selham, mając gęsto na piersiach zawieszone ordery i medale, bo Francja nie żałuje odznaczeń pour ses fidèles indigènes.

Spahisi i tyralierowie afrykańscy bili się walecznie z Niemcami w czasie wielkiej wojny. W nagrodę zato oficerom-Arabom wolno teraz awansować aż do rangi kapitana, nie jak dawniej tylko do porucznika.

Dla prezydenta rozmaite szczepy przysłały swoje delegacje nawet z głębi Sahary. Między innymi zjawili się Tuaregowie i Szaambasi. Z nich przeważnie rekrutują się oddziały wojskowe meharystów w służbie Francji, sformowane w 1902 r., które strzegą dróg karawanowych na Saharze. Dzięki nim można bezpiecznie jechać samochodem przez pustynię aż do Sudanu.

Tuaregi należą do tych oryginalnych południowych plemion berberskich, wyznających islam, u których nie kobiety, lecz mężczyźni naszą na twarzy zasłony (litam). Nie dzieje się to z powodu jakiejś nadzwyczajnej ich skronności, lecz z racji tradycyjnoro-dowych. Wyprowadzają się oni bowiem od niejakej kulawej Tiski. Miała ta dobra niewiasta wprawdzie męża i to nie jednego, ale sama rządziła swoimi Berberami, nadając ton całemu plemieniu. Do dnia dzisiejszego też zostały u Tuaregów ślady matriarchatu. Tylko matka u nich coś znaczy.

Nic przeto dziwnego, że mężczyźni ich woli żyć w stanie kawalerskim jako meharysta francuski, aniżeli być kopcuszkami przy żonie w swojej ubogiej familji.

Tuaregowie rozbili namioty na algerskim przedmieściu Hussein-Dey i czekali na wielką paradę przed prezydentem państwa, który ich przedstawicielowi miał ofiarować publicznie sztylet honorowy.

Wybrany z pomiędzy szejków plemion południowych basz-aga Dżellul ben Lachda przyprowadził ze sobą wspaniałe osiodłanego konia, jako prezent od Arabów dla p. Doumergue'a. Był to symbol ich czci i poddaństwa.

Przypomniano sobie, że w r. 1860 za Napoleona III na podobnych uroczystościach w Algerze, cesarzowa Eugenia podczas śniadania dostała od beja Tunisu sznur pereł, wartości pół miliona franków, a delegacja żydówek miejscowych ofiarowała jej wachlarz ze strusich piór.

Sułtanowie tureccy także niekiedy swym wezyrom ofiarowywali sznur w prezencie, a w jedenaście lat później biednej Eugenji było rzeczywiście bardzo gorąco.

Prezydent Doumergue na swoim koniu zajechał tylko na własne wesele, bo się wkrótce po powrocie z Algeru ożenił, w sześćdziesiątym roku życia! Czy Wschód ludzi nie odmładza.

Arabowie podczas wojny francusko-pruskiej (1870—1871) jeszcze się buntowali, ale dziś są już lojalni, bardzo lojalni! Przedstawiciel muzułmanów miejscowych prezydentowi oświadczył, że ludność mahometańska Algeru czuje się szczęśliwa pod nowymi rządami nie z jakichś racji ogólnych, ale specjalnie ceni sobie coraz łatwiejszy dostęp „aux sources de lumière et d'intellectualité française“.

W tym samym czasie odbywała się walka w Marokku z potężnym Sidi bel Kacemem. Ale nawet on, jak również jego szef sztabu Niemiec Fischer, byli to zbiegli podoficerowie z wojska francuskiego. Można z Francją wojować, korzystając z jej kultury przeciwko niej samej.

Miasto Alger ma bardzo ładne ogrody spacerowe. Przedewszystkiem olbrzymi jardin d'Essais, gdzie jest imitacja puszczy podzwrotnikowej. Zaraz obok niego stoi Muzeum Nacjonalne z galerją rzeźb i obrazów. Arabowie chodzą tam oglądać szkołę Poussin'a, albo Fragonard'a, Europejczycy zaś malowidła pensjonarzy z Abd El Fif, gdzie się znajduje (pod samym Algerem) rodzaj małej akademii rządowej dla artystów orientalistów.

Lasek Buloński, koło kolumny Voirol, w którym sosny i eukaliptusy mieszają się ze sobą, wydał mi się zbyt suchy. Zato śliczny jest park Gallanda, obejmujący szereg tarasów, idących coraz wyżej.

Tutaj został przeniesiony dolmen z Beni-Messous, służący za preludjum do muzeum, które stoi na samym szczycie góry parkowej. W Algerze starożytnym epoka kamienna daleko dłużej się ciągnęła, niż w Europie i wiele dolmenów powstało razem z kamieniami, noszącymi napisy rzymskie.

Muzeum powyższe zawiera bogatą kolekcję zabytków archeologicznych z Afryki północnej: libijskich, punickich, rzymskich pogańskich i chrześcijańskich. Dużo ich dostarczył pobliski Cherchel, dawna Cezarea, stolica Maurytanji, wielkie miasto w tych czasach, kiedy jeszcze Alger (Icosum) był małą mieściną.

Zwróciło moją uwagę epitafjum kartagińskiego centurjona z czasów Domicjana. Ma ono rzymski napis, zaczynający się od słów: „Dis Manibus“, a obok nich jest wyrzeźbiony półksiężyc mahometańskiego typu. Arabowie potem pewnie go uważali za swoją świętość.

Inna łacińska inskrypcja na starej mozaice z kościoła w Beni Rachen (wiek IV) zawiera piękne życzenie, ale w pisowni, od której jakiś filolog współczesny dostałby apopleksji, mianowicie: „Pax Aecclesiae catholice semper“.

Ma to muzeum relikwjarze i sarkofagi chrześcijańskie. Na jednym z nich, pochodzącym z Cherchel znajduje się wyobrażenie ewangelicznych Magów, w liczbie trzech, jak każda tradycja.

Dużo jest w tych zbiorach lampek oliwnych, które się w ziemi wykopuje najczęściej.

Część muzeum poświęcona jest sztuce i pamiątkom arabskim. Wiszą więc na ścianach dywany, hafty, tkaniny, nawet pistolety Abd-el Kadera, co już mnie daleko mniej obchodziło.

Zrobiłem sobie wycieczkę na wieś do Birmandreis, dziewięć kilometrów za Alger. Jest to mała miejscina z kościołkiem katolickim. Nazwę swoją zawdzięcza ona głośnemu renegatowi flamandzkiemu rejsowi Muradowi („bir“ po arabsku znaczy „studnia“). W tym czasie kiedy w Algerze kwitła piraterja, ściagały tutaj różne szumowiny ludzkie z całego świata.

Drugim podobnym egzemplarzem był Ali Bicznin, Włoch, który w korsarskim zawodzie doszedł do rangi admirała galer i szefa wszystkich rejsów. Cny ten bandyta, zaparłszy się religji chrześcijańskiej, takim się zrobił gorliwym mahometaninem, że aż wybudował meczet w Algerze przy dzisiejszej ulicy Bab-El-Oued.

W pobliżu parku Gallanda idzie tak zwana droga Jusufa (chemin Yousof), nazwana na cześć pewnego człowieka, który porwany przez korsarzy, jako siedmioletni chrześcijański chłopiec z wyspy Elby, przebywał na dworze beja tuniskiego, zostawszy muzułmaninem. Pamiętał jednak o swoim pochodzeniu i kiedy nadszedł rok 1830, oddał Francji ogromne usługi, za które otrzymał stopień generała i wille w Algerze przy ulicy, nazwanej jego imieniem. Porzucił też oczywiście narzucony mu islam.

Miasteczko Birmandreis ma wysokie platany, ale samo nie jest ciekawe. Dopiero na polach było ładnie. Łany zbożowe i winnice, drzewa pomarańczowe, figi i oliwki przy folwarkach, czasami jary zarośnięte krzewina, co urozmaicało krajobraz falisty zresztą z natury.

To jest ta Afryka, którą nazywano w starożytności śpichlerzem Rzymu, bo na nią był nałożony podatek w naturze. Oprócz zboża do Italji szły stąd w wielkiej ilości amfory z oliwą, opatrzone marką afrykańską, gdzie ich dzisiaj tak dużo spotykamy.

Ogólnie jednak Algerja nie może być uważana za kraj bardzo urodzajny. Ma przecież dużo gór, stepów, odłogów przesiąkniętych solą, a na południu zaczyna się już prawdziwa pustynia.

Dziwna rzecz, ale nawet pastwiska tutejsze bydlu nie służą i miejscowe woły nie większe są od osłów europejskich. Jeżeli się zdarzy suchy rok, to owce padają masami w sposób zastraszający.

Zato prawdziwem bogactwem Algeru i jego przyszością są winnice. Uprawa wina była zupełnie zaniedbana za czasów arabskich i tureckich, z powodów religijnych. Wznovili ją koloniści francuscy.

Wielkie upały afrykańskie pozwalają gronom dojrzewać całkowicie i wytwarzać w nich dużo cukru. Wcześniej też można je zrywać i brać pod prasę niż w Europie. Choroby prawie, że nie dotykały winnic algerskich, dopiero w ostatnich latach XIX w. zjawiała się filoksera.

Dziś Francuzi mają kłopot, gdzie podziąć nadprodukcję swego wina. Metropolja razem z Algerem wyrabia go rocznie siedemdziesiąt milionów hektolitrow. Zagranica kupuje wino podług własnych swoich kalkulacji. Resztę muszą wypić Francuzi przy pomocy Arabów i Kabyłów. Wprawdzie powiedział Pasteur, że to

jest „la plus saine et la plus hygiénique des boissons“, a najnowsi chemicy w winie znaleźli nawet radio-aktywność, lecz co za dużo, to niezdrowo i mogłoby się skończyć epidemją podagry.

Wracałem do miasta odpocząć po wycieczce wśród palm i kwiatów w ogrodzie mojego hotelu. Cicho tam było i spokojnie, a od morza ciągnęło świeże powietrze. Czy jednak zawsze tak będzie w Algerze? Przy naszej ulicy, na ścianie domu, jakiś miejscowy bolszewik napisał smolą: „vive le communisme“! Wielkie zbiorowiska ludzkie zawsze są trochę podobne do wulkanów i żeby przepowiedzieć ich przyszłość, trzeba patrzeć nie tyle na ich powierzchnię, ile na dno wnętrza, bo tam się ukrywają materiały palne. Dla mnie, jako dla przygodnego turysty, dużo zapewne rzeczy w Algerze było niewidocznych. Napewno więcej niż Arabów, Francja tutaj powinna się obawiać komunistów, którzy i w 1871 r. okazali się bardziej niebezpieczni od Prusaków.

Innego dnia wybrałem się do kościoła Notre-Dame d'Afrique. Leży on bardzo wysoko. Trzeba jechać najprzód tramwajem do wojskowego szpitala Maillot, będącego dawnym pałacem deya Baby Hassana, a stamtąd idzie trakcja benzynowa.

Usadowiłem się w autobusie, do którego pasażerowie ściągali potrosze. Przy nim stanął tęgi Arab w średnim wieku i pięknym basem, nieustannie powtarzał następujący zwrot do miłosierdzia wchodzących: „bonne chance! pour un aveugle, un soul! bonne chance“!.. i tak do znużenia. Aż wreszcie dojrawszy jakąś niewiastę, która mu się najlitościwszą ze wszystkich wydała, dopowiedział: „bonne chance, demoiselle! pour un aveugle“... Radość zapanowała wśród siedzących. „Przejrzal, przejrzał“! zaczęto wołać z autobusa.

Żebractwo dosyć jest rozwinięte w Algerze, zapewne głównie wśród Arabów, ale spotkałem także europejską parę, widocznie męża i żonę, żebrzących pod arkadami El Oued, prawie na środku chodnika.

Droga do Notre-Dame idzie ciągle pod górę i byłoby ciężko wybrać się tam piechota. Po drodze migały ładne wille, palmy, kwiaty. Przy zakrętach ukazywało się morze, poto, żeby przy samym kościele rozwinąć się w panoramę, jedną z najpiękniejszych na świecie.

U stóp góry leży przedmieście Saint Eugène, stacja klimatyczna, gęsto zadrzewiona, z prawej strony Alger, z lewej wybrzeże, aż do przylądka Pointe Pescade. Za tem wszystkiem tafla spokojnej wody, która na horyzoncie zlewa się z błękitem nieba. Widok był cudny, ale pomimo spokoju w naturze, budził pewną grozę, ponieważ robił wrażenie głębokiej przepaści. Nastrój tragiczny powiększał jeszcze pomnik zaginionych w morzu, stojący przed kościołem. Tam na dole tak łatwo śmierć można znaleźć!

Na morzu widać było kilka krążowników, torpedowców i awizo z eskadry francuskiej, która przywiozła i eskortowała prezydenta państwa.

Ks. T. R.
(D c. n.)



CZESKI RAJ

Miasto Ičín, którego imię wpisała do historii bitwa stoczona w 1866 r., leży na płaszczyźnie nadłabiańskiej. Wkraczają na nią zuchwale odgałęzienia i przedgórze Gór Olbrzymich. Krajobraz, wytworzony ze zmagania się cech gorskich i nizinnych, jest bardzo urozmaicony, zniewalając swymi powabami podróżnika, który od strony północnej wstąpi w tę krajinę.

Zalesione, ukoronowane zamkami wzgórze zatacza ją szeroką falą krag wokół rozkosznej doliny, pośród której niezwykły wódz Wallenstein, Arcyksiążę Friedlancki, uznał za właściwe wzniesć gród Ičín, ja-go godną jego książęcego dostojenstwa siedzibę, a dla podniesienia jej uroku i potęgi pięknie ją przyozdobił.

Pośród wspaniałych rozległych łąg nadłabiańskich wznosi się zalesiony łańcuch Prachovych Skal. Jest to zaczarowany świat piaskowych złożysk, wyrzeźbionych przez wodę w fantastyczne skalne grodzi ska, tworzący niezrównaną galerję olbrzymich skalnych złomów. Słowem nacudniejszy zakątek czeskich gór, słusznie miano czeskiego rajy noszący.

Od Ičína, jak strzelił, wprost na północ pobok zieżonych ruin zameczku Trosky, obok wzniesłego zamku Hruha Skala i miasteczka tejże nazwy, aż do brzegów Izery i miasta Turnau i dalej w górę rzeki aż do Eisenbrod i Semily natura hojnie nagromadziła tyle uroku i piękna, że podróżnik czuje się w niem pogrążony jak małża w muszli, — porównanie o tyle właściwe, iż istotnie znajdujemy się w świecie skalnych nawarstwień, których surowy, okrutną dłoń czasu zniekształt przyroda łaskawie okryła płaszczem lasów gęstych i podszytych wszelaką roślinnością, bujna, soczysta, zielona.

Olbrzymie wrota do tego rajy ziemskiego, to Prachove Skaly, a czarodziejskim kluczem do nich jest gród Ičín.

Nie znajdziemy tak łatwo na mapie Czech, a nawet Europy miasta, które łączyłoby w sobie tak szczodrze bogactwo historycznych pamiątek z kosztownem, współczesnem uposażeniem w wygody i komfort.

Z rozgłosnej epoki Wallensteina zachował się w pełnym blasku swej minionej chwały zamek ičíński, sławny dzięki swej pamiątkowej sali konferencyjnej „świętego porozumienia“ z 1813 r. Podwórce jego otaczają wyniosłe arkady. Dwukilometrowa aleja, wysadzona podwójnym rzędem strzelistych lip łączy dumny zamek ze starym parkiem Wallensteina — Libosad, w którym pyszną się dostojne drzewa, z godnością świadczące swym wiekowym wyglądem o czasach arcyksięcia Friedlandzkiego, na jego czyny i bujne życie patrzyły oczyma swych rozkwitających młodością gałęzi. Otaczają one, niby zazdrośnie strzegący swej tajemnicy magowie, myśliwski zameczek — Loggia. Dalej pośrodku pola bitwy w r. 1866 koło Kbelnice wznosi się kaplica — Ossarium, i liczne zachowane pomniki i nagrobki wielu zabitych tu oficerów i żołnierzy.

W przebogatej szkatule czeskiego rajy, Prachove Skaly, to prawdziwie najpiękniejszy jej klejnot. Malowniczość tych skalistych uwarstwień zawdzięczać



Czeski raj. Widok na część przednią.



Skaly pod Turnow

leży działaniu sił przyrody w czasach przeddziejowych. Niemalże tu pamiętek.

Znaleziono tu groby z doskonale zachowanymi szkieletami przedwiecznych mieszkańców pobliskich zanikłych już dziedzin Valu i Moravska.

Na północnym cyplu Starego Hradku stał ongiś drewniany chrześcijański kościółek. Dotychczas znajduje się tu jeszcze pośród wierzchołkowej płaszczyzny kamienny ołtarz, wyciosany w podłużnej skale na kształt krzesła.

Tak oto błądzimy po wyłobinach i szczytach tego dna dawnego kredowego morza, które szumiało ongiś po dziedzinach całych Czech północnych. Na wyniosłościach dna osiadły mielizny piaskowe, pod ciśnieniem bezmiarów wód nabrawszy skalistej twardości. W skutek poruszeń skorupy ziemskiej morze to powoli spłynęło. W trzeciorzędowej epoce rozsądziły liczne wulkany w kształcie stożkowych bazaltowych skał nawierzchnię ziemi i spoczywające piaskowe masywy.

Diluvium wyrzeźbiło je gwałtownymi uderzeniami wód, tak powstały różne skupiska skalne (Bab'nec) pieczary, jaskinie, wąwoły i wąwozy, ganki (Chodba svobody). W licznych wgłębieniach tworzyły się zarośla morskich gąbek. W okresie diluvium zamieszkiwały terytorjum Prachowskich Skał mamuty, nosorożce,

tury piżmowe i t. d. Diluwjalny człowiek błądził wśród dzikich skał, szukając schronienia w jaskiniach i pieczarach, gdzie pozostawił, jako ślad swej obecności, narzędzia domowe lub ozdoby z kości. Również jak i pobliskie „Skały na Murskem“ był i Prachov w prawiekach naturalną fortecą mieszkańców tych ziem.

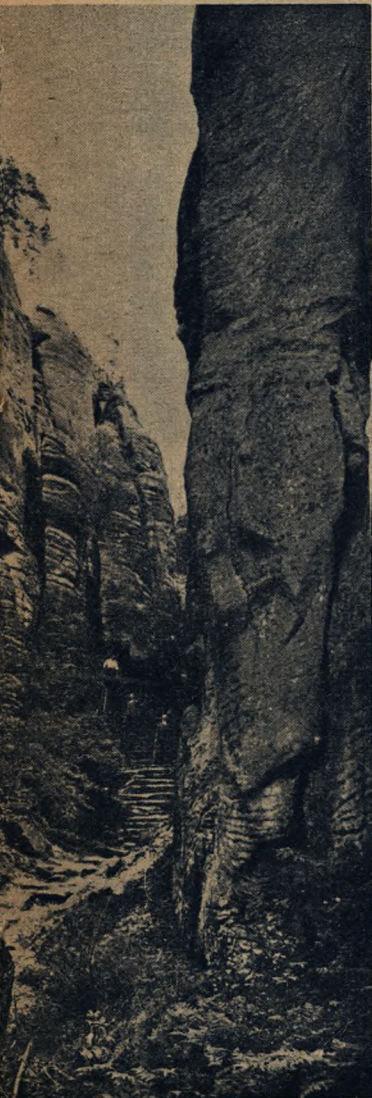
Stoimy oto na jeszcze dziś imponujących szczątkach wałów, które sześciokrotnym pasem otaczały to olbrzymie, przyrodzone zamczysko. Wyobraźnia stawia nam przed oczy cały mozoł pierwotnego człowieka, który kruszył głazy i toczył je, aby wznieść te zwałiska. A potem gdy wróg napadł na krainę, wśród łuny płonących sadyb wycofywano się za pierścieni ochronny skał, by z wałów i skalistych wierzchołków prażyć napastnika kamieniami.

Oto młoda brzoza przyciągnięta do ziemi, zawiera w swym wierzchołku potężny kamień, by w prężnym skoku swych gibkich słoży i kory wyrzucić go na wraże szeregi. Świsł kamieni, pojęk strzał pierzastych, ryk wydobywający się z piersi drapieżnych wojowników są jakby echem owych burz, które do dna skłębiały odmet kredowego morza.

To było ongiś.

Dziś wygodne ścieżki, drogowskazy mostki i pomniki rzeźbione — wszystko łatwe, ułaskane, przytulne nieomal

Ziemie jicińskiej zamieszkiwali już w czasach historycznych Chorwaci, wzniosłszy cały szereg grodziszcz (Cesorske valy, szańce nad Brachovem). W XIII stuleciu było tu obozowisko, któremu król Wacław nadał prawo odbywania targu w każdy poniedziałek (1302 r.). Miasto balansowało jak piłka z rąk jednego rodu szlacheckiego do drugiego. W r. 1416 otrzymał Jicin od Cenk z Varterberka prawa miast królewskich. Po wojnach husyckich dzierżyli Jicin Valdystynowie, potem Jerzy z Podebradów wreszcie ród Mikołaja Tréky z Lipy władał miastem przez 127 lat, obdarzając je licznymi przywilejami i nadaniami. Do tego czasu Jicin wchodził w skład włości Velisskich, w r. 1607 został sprzedany łącznie z włościami kumburskimi rodowi Smirickich. Zygmunt Smiricky wystawił nowy zamek. I tu zdarzyła się prawdzi-



m. Wielki Komin.

T. zw. Skalne Miasto.

wie romantyczna historia. Do zamku, który stanowił istotnie ozdobę dzierżaw zaczęły rościć pretensje obie córki Smirického Elżbieta i Małgorzata. Zapalczywe niewiasty uczyniły takie piekło wokół tej sprawy, że biedny ojciec nie mogąc sporu załagodzić, choćby nawet wypadło inny zamek dla drugiej córki wznieść, tak zażarcie Elżbieta chciała przeszkodzić Małgorzacie a Małgorzata Elżbiecie w posiadaniu starego zamku, postanowił sam przedmiot sporu zniszczyć i w r. 1620 zamek wysadzono w powietrze.

Na tle tego zdarzenia wchodzi się w losy jicinińskich dóbr najbliższy krewny, tak niezwykle niespokojnych panien Smirickich (smir — zgoda) Albrecht Euzebjusz z Waldstein, wojewoda Frydlański. Tak sobie przytem upodobał Jicin, że postanowił uczynić go głównym miastem województwa. Zabrał się więc przedewszystkiem do restauracji ruin, wzniosłszy — na nich w ciągu lat okazały pałac, przebudował sąsiedni kościółek św. Jakóba, (1630 r.) na kształt pątniczego kościoła. St. Jago di Compostella i połączył go z zamkiem wspaniałym pasażem. Obok kościoła, jako pozostałość dawnych murów miejskich przyrasta dumnie wieżowa brama (1578 r.) na 50 metrów wysoka. Główny ołtarz szczyli się wspaniałym obrazem Kramolina. Jako piękny ślad stylu epoki znajdziemy w świątyni barokową chrzcielnicę z cyny, obok pomnika św. Jerzego na Hradcanach jeden z niezrównanych zabytków sztuki odlewniczej. Nad harmonijnym wnętrzem kościoła zawisa kopuła o zachwycających kształtach, skopjowanych z najlepszych włoskich wzorów.

Niestety te prace nad architektonicznym przyozdobieniem Jicina przerwała nagle śmierć Waldsteina. Lecz miasto nosi trwałe ślady czulej opieki swego władcy w kierunku przyozdobienia. Cały szereg barokowych budowli zdobi je. Tak np. „mensi panski dom” z herbem rodu, obok zaś dziwna, ale i dość umiejętne mieszanina baroku z gotyckim podłożem „dum Goliathu”. Na obecnym placu Masaryka, który otaczają średniowieczne domy z podcieniami, wznosi się statua N. Marji P. barokowa fontanna z Amfitrytą i późniejszy przybysz empirowa studnia.

Z tego placu winniśmy się stanowczo skierować do kościoła św. Ignacego, pochodzącego z XIV stulecia, najstarszego zabytku murowanego w mieście. Wiekowi ta budowla wielokrotnie przerabiana nie zatraciła jednak patyny wieków, których obumierające echa kołaczą się wśród licznych kamiennych nagrobków, stojących na straży murów tej świątyni. Oczy nasze zachwyca pozostałości srebrnego ołtarza bizantyjskiego w stylu wczesnego baroku, gdy spojrzymy ku chórowi wzrok nasz zawiśnie na misternie kowanych kratkach, zmęczeni wtulimy ramiona w wytworne rzeźby lawek. Kościół łączy się z zabudowaniami jezuitckie-

go kolegium, bogato obdarzonego przez Valdsteina, które w r. 1773 zniósł Józef II: W mieście godne jeszcze widzenia dom „Na rychle” ongiś miejska radnica, dalej kościół św. Marji de Sales obok cmentarza z szeregiem zajmujących gotycko-barokowych i empirowych nagrobków. Należy też obejrzeć cały szereg pomników jak np. pomnik Jana Chrzyciela, J. A. Komenskeho, K. Havlicka (1906), iglicowaty, wyniosły pomnik poległych w r. 1866 żołnierzy. Tu można podumać nieco nad losami tej bitwy — tak interesująco opisaną w powieści baronowej Suderman i nad losami Austrii wogóle. Bitwa rozwinęła się rozległym na blisko 10 klm. frontem, ciągnącym się ze wschodu od Żeleznice aż do Lochova na drodze do Sobotki. Centralny jej punkt był u stóp i na zboczach Brada najbardziej na wschód wysuniętego wzgórza Prachovských skał. Brada obsadzono artylerią, która trzymała pod huraganowym ogniem dostęp do doliny Jicinskiej. Ostatecznie otwartym, brawurowym atakiem na bagnety, godnym uwiecznienia w historii wojen zdobyto dn. 29 czerwca 1866 pozycję. Tegoż dnia pod wieczór padło też lewe skrzydło armji austriackiej w nadzwyczaj ostrej walce koło Lochowa.

W ten sposób obie bramy do doliny jicinskiej zostały zdobyte. Za uciekającymi pełnym frontem Austriakami wkroczyli Prusacy dnia 30 czerwca 1866 r. po północy do Jicina. Dnia 1 lipca przybył do miasta król pruski i zamieszkał w domu burmistrza. Na miasto nałożono wysoką kontrybucję, dla zabezpieczenia wypłaty jej uwięziono nawet burmistrza. Ogółem Jicin poniósł szkód w skutek bombardowania na 1 jedną czwartą miliona koron.

Po tych rozważaniach wojennych udajemy się w dalszą drogę do letniej rezydencji Waldsteina, Libosad, przyozdobionej piękną logją i pustelnią.

A potem przejdźmy się wśród Prachovských Skał, zwłaszcza przepiękną Hodbą svobody. Zewsząd wystają coraz dziwniejsze kształty, to mnich, to rycerz, to figlujące małpy, aż dojdziemy do Zelonego rozdołu wyrastającego kamiennego grzyba, co swym opasłym kształtem, zastawia wejście do Wielkiej furty i Ewiej pieczary. Wdrapujemy się na pochyłą Silemon vež.

Teraz roztwiera się przed nami świat podziemnych jaskiń: Americke sluje, Babince — prawdziwy labirynt z olbrzymimi słupami — dalej nieco Lach manova jaskyne.

Na lewo króluje Ervinuv hrad imponujący zespół wieżycowych skał, naśladowujący pradawny gród. Nazwę skaliska te otrzymały od byłego właściciela Prachovských skał Ervina hr. Slikowa. Stąd na północ rozdołem „Na vodach” idziemy do Nowego o potem do starego Hradu.

W r. 1880 odnaleziono tu pogańskie a następnie chrześcijańskie pierwotne cmentarzysko.



Z E Ś W I A T A

Z zawodów hokejowych w Łacie Placid Ameryka.



Zawody te wchodziły w skład wszechświatowej Olimpiady sportowej.



Wspaniały połów, olbrzymi 9 metrowej długości narwał złowiony u brzegów angielskich,

Z karnawałowych maskarad w Berlinie.



Zamarzły wodospad w Alpach.

Straszliwa powódź nawiedziła Amerykę Północną.



Ś W I Ę T Y J Ó Z E F

Święty Józef, starszeczek cichy,
skromny żywot wieździe w Nazarecie.
Niepozorny, a tak wielki przecie
w swej świętości, dalekiej od pychy...
Nad ciesiołką schylony dzień cały:
czy deszcz pada, czy słońce doskwiera,

piła w ręku, lub ciężka siekiera.
A Jezusek pomaga mu mały.
Rączkami pracuje drobnymi:
drzewo dźwiga, czy wióry zamiata.
Mały Jezus, Bóg, przyszedł król świata,
trud najlichszy ponosi — na ziemi...

Alina Kwiecińska.

Z WIEDZY, LITERATURY I SZTUKI

INSTYTUT PROPAGANDY SZTUKI.

Nowo otwarty pawilon wystawowy przy ul. Królewskiej w pierwszym salonie zgromadził głównie przedstawicieli nowych kierunków malarzkich. Mamy więc pracę formistów, z czołowym ich przedstawicielem Czosnowskim. Jego „Dynie”, ostro, wyraziście zarysowaną linią swych kształtów, siłą i masywnością brył, kontrastem zasadniczych barw, przykuwają uwagę. Wcale nie gorsze są „Kaktusy”.

Druga grupa to „Rytmiści” z Zbigniewem Grabowskim. Dążenia tego kierunku są nieomal w zasadniczym przeciwieństwie do formistów. O ile pierwsi dążą do wyrażenia statyczności świata, drudzy do ujęcia jego dynamiczności. Stąd formiści dają nam precyzyjny, oszczędny, nieomal oschły rysunek kształtu, rytmici operują płynnymi, wyokrąglonymi masami i łagodnymi pasażami kolorystycznymi. U formistów barwa ma wyraźne i zdecydowane rozgraniczenia i ostro odcina się od innej barwy. Zestawienie daje sposobność porównania zasadniczych tendencji malarstwa w zależności od stosunku do kształtu i barwy.

Idealizowana „Madonna” Roguskiego, to jakby próba kompromisu. Kompozycja ma dążność do uproszczenia i dosadności linii, a jednocześnie wiele miękkości i subtelności w traktowaniu barwy, wprost pastelowo. Gdy jednak myślimy o zagadnieniu kształtu i barwy na tle wystawy, to jednak nasuwa się nam wniosek, że dążność do wyrazistości kształtu powinna cechować raczej rzeźbę, harmonje barwne to dziedzina malarstwa. Można ostatecznie od biedy rysować kształty, lecz lepiej jest je rzeźbić lub montować w architektonicznych bryłach. Jeśli dzisiejsza architektura ożywiona duchem puryzmu z odrzą odrzuca wszelkie obce sobie efekty, wszelkie zdobniczo sztuczne, to chyba i malarstwo powinno się rozeznąć w swem królestwie i umiarkować to, co tam jest zbędne lub zbyt natrętne. Jeśli zabawną jest myśl o Wenus mileńskiej, ubarwionej jak lalka fryzjerska, to czemuż nie może budzić sprzeciwu wycięty nożem pejzaż.

Nie znaczy to, byśmy w malarstwie propagowali jakiś kolorystycz-

ny chaos, by każdy obraz przedstawiał kalejdoskopową mgławicę, chodzi nam jedynie o ustalenie hierarchii celów artystycznych, którym ma służyć malarstwo. Nie polecamy więc lekceważenia kształtu, rozpuszczenia go do granic nonsensu, ale nie radzimy też zarysować go jakby uderzeniami topora.

Powiadamy — w malarstwie! Inaczej w grafice. Tam bowiem mamy właściwie do czynienia z techniką rzeźbiarską zmodyfikowaną. Sposób rytowania w metalu czy drzewie — jest przecież czemś pokrewnym rzeźbie, nietylko przez zbliżenie techniki, ale przede wszystkim przez to szczególne widzenie świata w twarde rozgraniczonych zarysach i bryłach.

Przechodząc od tych ogólnych uwag do dalszego omówienia wystawy, musimy zaznaczyć wartościowe prace Kowerskiego, Skoczylasa, wernego swemu folklorowi góralskiemu, w jego podejściu do tematu jest wiele z cech: psychicznej, ludowej prostoduszności widzenia świata.

Dobrze prezentują się uczniowie szkoły warszawskiej. Pejzaże Arcta i Litauerówny zwracają uwagę. Zwłaszcza w pejzażach Litauerówny czuć wprost powietrze.

Cz.

FORTEPIAN BANKRUTUJĄCEJ KULTURY.

P. Szaniawski dał nam sztukę dyskusyjną na temat przewartościowania się nowoczesnej kultury. Szkoła muzyczna p. Baltowej, kultywująca starych mistrzów oraz fabryka fortepianów, jest bliska bankructwa. Natomiast fabryka płyt gramofonowych p. Tilla, który nagrywa piosenki prawie „o włos od pornografii, zahaczające swą treścią, rozwija się” i sypie złotym deszczem dochodu.

Pani Baltowa idzie po linii kompromisu, po cichu popiera Tilla, jest z nim w spółce, a za uzyskane pieniądze ratuje swą szkołę i nawet ze skutkiem, bo oto główny filar gramofonowej firmy, twórca przeboi, porzuca Tilla i wraca do Baltowej, by poświęcić się czystej sztuce.

A teraz pytania: Czy p. Baltowej wolno było popierać Tilla, choćby w imię swych fortepianów i szopenowskiej szkoły? Dlaczego ta fortepianowa doskonałość jest bez wpływu na życie?

W zasadzie zapewne nie wypada niegodziwymi środkami dążyć do godziwych, choćby nawet najbardziej wzniosłych celów. Lecz czy rzeczywiście popularna muzyka i popularna piosenka jest implicite czemś niegodziwym. Sprawa wisi jak ów miecz Damoklesa na włosku.

Niewątpliwie każdy człowiek potrzebuje pewnej kulturalnej rozrywki i pożywki. Lecz Mickiewicz i Szopen — to jest coś wyszukanego, wymagającego pewnego przygotowania kulturalnego; popularna piosenka oczywiście nie obrażająca moralności — to alfabet kultury. Till Eulenspiegel przygotowuje drogę Moljerowi, nieznany poeta ludowy, układający baśni i piosenki jest poprzednikiem Mickiewiczów i Słowackich, a Szopen podchwytuje i przekształca na najwyższe walory artystyczne, to, co wioskowy gęślarz lub skrzypek, czy nawet pastuszek podaje ludowi ku uciesze.

Kulturę społeczeństwa mierzy się nie tylko szczytami i wykwitami jej arcydzieł i arcymistrzów, ale i — bodaj przede wszystkim — ogólnym poziomem zainteresowań artystycznych.

Tajemnica rozwoju kulturalnego społeczeństwa, to jest właśnie tajemnica zdrowego kompromisu między szczytami i nizinami, jest kwestja porozumienia i współpracy. Jeśli w jakimś społeczeństwie fortepian okazuje się w rzeczowym i przenośnym sensie zbędnym sprzętem, to dowód, że ci, którzy mu patronują, stracili kontakt z życiem szerszych warstw społeczeństwa.

Nasi dramatopisarze, mający pretensje do roli sumienia społecznego, nie tak dawno jeszcze naśmiewali się z aspiracji kulturalnych noworiszów. Czy to nie zabawne, że chłop sprwadza do swej chałupy fortepian?

Dziś płaczą nad tem, że nikt już się fortepianami nie interesuje. Albo, albo.

Zapewne, że ustawienie fortepianu w izbie nie czyni z niej salonu artystycznego, ale tem dalej będzie do niego, gdy nawet i takie aspiracje wygasną. Ci zaś, co patronują fortepianowi, winni się zastanowić nad sposobami zbliżenia rzetelnej kultury do szerszych mas jeśli ich biadania nad upadkiem kulturalnym nie mają być tylko jękiem ramołów i niedołęgów.



NA FALACH CZASU

Rząd Wielkiej Brytanji w samym momencie rozpoczęcia się konferencji rozbrojeniowej, znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Sir Eric Drummond ustąpił ze stanowiska sekretarza Ligi Narodów z powodu swej zdecydowanej filochińskiej polityki, dążącej do interwencji Rady Ligi Narodów, bez względu na interesy Anglii na Dalekim Wschodzie. Lord Cecil został odwołany, gdyż gdzieś całkowicie po linii tezy niemieckiej (względnie włoskiej) w kwestji rozbrojenia.

Jest to zrozumiałe w chwili, kiedy rząd narodowy jest zdecydowany do obrony siłą całości Imperjum na wszystkich zagrożonych jego odcinkach: w Indiach, w Egipcie, Cyprze i Chinach. Wielka Brytanja nie chce już ponad miarę redukować swej siły obronne, lądowe, morskie i powietrzne.

W opinii publicznej angielskiej hasło rozbrojenia jest zresztą bardzo popularne. Zwłaszcza sfery kościelne rozwijają w tym kierunku intensywną propagandę. Sam premier Mac Donald występował niejednokrotnie, żądając niezwłocznego rozbrojenia. Przewodniczącym zaś konferencji rozbrojeniowej pozostaje p. Henderson, b. minister spraw zagranicznych w rządzie socjalistycznym, zagorzały bojownik tezy niezwłocznego i powszechnego rozbrojenia.

A stanowisko Francji?

Trudno przypuszczać, by rychło zwyciężyły tam tezy socjalisty Bluma i Deladiera, oskarżającego Francję o nadmierne zbrojenie.

Niema więc mowy o sprzeczności stanowisk Anglii i Francji pomimo obecnej ich różnicy zdań w sprawie odszkodowań niemieckich. Anglja doskonale zdaje sobie sprawę, że wzrastająca z dniem każdym w Niemczech propaganda za zwrotem kolonij niemieckich, godzi prawie wyłącznie w jej interesy. To też Anglja

musi dbać o dostatecznie bliskie porozumienie z Francją. Nikt bowiem poza Anglią nie jest zainteresowany w niedojściu do skutku tych rewindykacyj niemieckich... Również interesy Banku Angielskiego, długo jeszcze wymagają przychylności Banku Francji.

Wobec U. S. A. Anglja znajduje się w wygodnej sytuacji, ponieważ ubiega się ona obecnie o pomoc W. Brytanji w sprawie Szanghaju, zajętego przez Japończyków. Prasa ame-

Kusząca propozycja niektórych Amerykanów, co do zmniejszenia długów wojennych za cenę zmniejszenia zbrojeń, puszczona zostanie mimo uszu. W tych warunkach wobec tak fatalnego splątania różnorodnych interesów, niemiecki przedstawiciel hr. Rheinhaben, nie ma co liczyć na zwarty front amerykańsko-włosko-niemiecki, skierowany przeciw Francji.

W sferze czystego „pium desiderium” pozostaje też hasło gen. Groenera wsparcia rozbrojenia na zasadzie: „równość, wolność, bezpieczeństwo” dla wszystkiego (!) oraz „prawo przed siłą”, przeciwstawiając te hasła tezom francuskim. Angielska prasa prawicowa wykazuje brak konsekwencji ze strony niemieckiego męża stanu, skoro Francja oddawna wysuwa żądanie równego bezpieczeństwa dla wszystkich. Tylko od jego realizacji Francja uzależnia zgodę na „równość” w dziedzinie zbrojeń, przeciwstawiając się natomiast owej „wolności”, oznaczającej przecież z natury rzeczy wyścig zbrojeń. A już do ponownego zagrożenia Anglii przez niemieckie zbrojenia morskie nikt na wyspach brytyjskich dopuścić nie chce i nie może.

Gdy tak sobie ludzie gawędzą plus minus o podstawach rozbrojenia, gdy się już do Genewy zjechało 26 generałów, drugie tyle ministrów i wogóle 1200 delegatów rządów, nie licząc 400 dziennikarzy, słowem, gdy się oto zaczęła uroczysta celebra konferencji rozbrojeniowej — na Dalekim Wschodzie, w Mandżurji i Szanghaju dzieje się coś na kształt wojny.

Powiadamy coś na kształt. Bo podobno, jak donoszą wszyskkowiedzące gazety, wojną jeszcze nie jest wypowiedziana. Inna jest rzecz, że Japonja zajęła już zbrojną ręką całą prawie Mandżurję. Inna jest rzecz, że Szanghaj jest bombardowany z lądu, morza i powietrza, inna jest



J. E. ks. Biskup Bandurski.

rykańska ofiarowała Anglii redukcję jej długów względem Stanów Zjednoczonych w razie wspólnego wystąpienia w Tokio i Szanghaju. Wielka Brytanja nie chce zatargu z Japonją, będzie się jednak starała wykorzystać sytuację, by nie pozwolić U. S. A. na odegranie roli dominującej. Zresztą i w parlamencie Stanów przeważają tendencje zwiększenia a nie zmniejszenia budżetu wojskowego (morskiego). Anglja zaś jest zwolenniczką francuskiej koncepcji wzmocnienia powagi Ligi Narodów przez oddanie do jej dyspozycji sił lotniczych!



Biblioteka Watykańska Sala Sykstyńska przed katastrofą.

rzecz, że są setki rannych, że mord, pożoga i grabież podały sobie ręce.

Lecz rząd chiński jeszcze wojny nie wypowiedział i jest „wojna bez wojny”, jak to określił jakiś złośliwiec czy pocziwiec.

Chiny oczekują interwencji, wierzą w genewską sprawiedliwość. Tymczasem wszystkie mocarstwa wysyłają swe eskadry morskie. No, bo jakże, jeśli Japonja ma na Żółtych wodach 40 pancerników, to trzeba do śmiertelnego kontredansa wojny, w imię „równości, braterstwa i bezpieczeństwa” odpowiednią ilość okrętów innych potęg. Wobec tego, chcąc nie chcąc, trzeba pisać satyrę.

Wojna tymczasem toczy się regularna. Szanghaj, broniony przez jakiegoś chińskiego generała, który był przedtem szewcem, w ogniu, pożodze, zniszczeniu. Japonja jednak zdecydowanie idzie po obranej drodze. Doprowadziła już do ogłoszenia niepodległości Mandżurji. Czem się to skończy? Może będzie wojna z Sowietami? Może będzie wojna ze Stanami Zjednoczonymi? Japonja nie jest na to nieprzygotowana. W każdym bądź razie napięcie rośnie i konflikt może wybuchnąć w jeszcze jaśniejszej formie.

Nie mniej zabawnie przedstawia się sprawa odszkodowań wojennych. Choć w dniu 25 stycznia konferencja w Lozannie się nie odbyła, ale kiedyś musi się zebrać, i to chyba przed upływem moratorium hooverskiego dla spłat odszkodowawczych w Europie i dla długów wojennych aljancjów w Ameryce. Kanclerz Brüning, oświadczając ambasadorowi angielskiemu, że zgoda równałaby się utrzymaniu zasadniczemu spłat odszkodowawczych, a Niemcy pragną uwolnić się zupełnie i ostatecznie od tego ciężaru,

gdyby rządy w Paryżu i Londynie oświadczyły, że konferencja musi się zebrać, Berlin nie byłby się wazył na nieobecność w Lozannie. Brak zgody politycznej zwycięzców wielkiej wojny wychodzi na szkodę ich interesów, pokoju europejskiego i odbudowy gospodarczej świata. Głównym zaś źródłem niedostatecznego porozumienia i tym razem jest Londyn. Konferencja lozańska ugrzęzła na razie na czas dość nieokreślony; ma być bowiem zwołana po wyborach powszechnych we Francji i wyborze prezydenta w Niemczech — sprawił to nastrój finansjery angielskiej, domagającej się, by, broń Boże, wśród żarów dyskusji reparacyjnej nie... ulotniły się „zamrożone” w Niemczech kredyty.

Czy ratowanie tych kredytów doprowadzi napewno do celu. Czy rzuciwszy z siebie „haracz” odszkodowania, Niemcy nie gotują City londyńskiemu niespodzianki w postaci niedotrzymania krótkoterminowych kredytów? Skończyła się 23 stycznia r. b. po kilkunastu naradach kon-

ferencja bankierów międzynarodowych, rozpatrująca pytanie, co będzie z kredytami po 29 lutego, to jest po wygaśnięciu moratorium.

Ma się wrażenie, że komitet zagranicznych wierzycieli niemieckich nie spogląda w przyszłość z otuchą. Czytamy w raporcie, że nie może być mowy o rozwiązaniu problemu kredytowego, „kiedy wierzyciele wbrew chęciom (reluctant creditors) godzą się na prolongatę kredytów ze względu na dłużnika w kłopotach i ze względu na ogólne położenie gospodarcze świata, w którym dłużnik zajmuje poważne miejsce. Problem kredytowy byłby rozwiązany, kiedy wierzyciele z otuchą i zaufaniem (cheerfully and confidently) przedłużą kredyty, które mogliby wycofać w chwili dla siebie dogodnej.

Dumas, syn, powiada gdzieś: Les affaires c'est l'argent des autres. Dziś nawet p. Herriot, którego chyba nie można nazwać nieprzejednanym wrogiem Niemiec, na tyle się zorientował w tem, co w tłustych latach pożyczek działo się w Niemczech, by zrozumieć, że działo się to pod nową dewizą: Les épargnes c'est l'argent des autres. Niemcy żyli na wielkiej stopie, bo stać było na to ich... wierzycieli, i robili oszczędności ze swoich... długów. Sam p. Herriot niedawno wyliczył, że w latach 1924 do 1928 Niemcy w różne inwestycje włożyli około 30 miliardów marek, a pożyczycieli na spłatę odszkodowań 13 miliardów. Nietylko tak zwane „zamrożone” kredyty, pożyczki krótkoterminowej, w znacznej części unieruchomione są w przyroście niemieckiego majątku narodowego, nie dającym się przenieść do krajów wierzycielskich, ale tą samą drogą poszła w tych latach cała nadwyżka dochodu narodowego, która była



po katastrofie.

znacznie większa od sum odszkodowawczych. Korzyści z tej manipulacji, z tego „odkładania na bok” pieniędzy, należnych zniszczonym przez wojnę obywatelom francuskim, belgijskim i innym, zagarnęły sfery znane, „Stinnesien”, magnateria przemysłowego i finansjery, właściciele superkolosalnego warsztatu gospodarczego, jakie sobie zbudowano z zaoszczędzonych... długów.

Gdy tak nieszczęśliwe Niemcy do brze się mają pomimo swego urzędowego smutku, jaki przystoi „niewypłacalnemu dłużnikowi”, to wierzy cielska Ameryka stoi na progu zamiętu gospodarczego.

Pomimo wygórowanych i ciężkich opłat komunalnych, finanse niektórych miast amerykańskich są w opłakanym stanie. W Chicago grozi wprost katastrofa większa od jakiegokolwiek katastrofy żywiołowej. Jeżeli nie znajdą ojcowie miasta pomocy finansowej, przestanie funkcjonować policja, straż pożarna, zamknięte zotaną szkoły, szpitale. Umrze z głodu pół miliona ludzi, bo 35.000 rodzin bezrobotnych, żywionych teraz na 14 stacjach, z funduszu zebranego drogą składek publicznych, zostanie bez pomocy. Zebranych 10.000.000 dolarów ma się już ku końcowi.

To są tragedje i kontrasty amerykańskie. Wszystko na gigantyczną skalę: deficyty, korupcja, nędza, legalne i nielegalne zyski. Arytmetyka amerykańska jest niezwykle skomplikowana.

Jest angielskie i w Ameryce popularne przysłowie, które powiada:



L. Eigner. Portret p. J



Dom akcji katolickiej w Warszawie.

„It rever rains but it pourse” — jak deszcz zacznie padać, to już zaraz leje. Katastrofy amerykańskie mnożą się. Straszna powódź w dolinie Missisipi zwiększyła szeregi nędzarzy amerykańskich. Około 30.000 osób zostało bez dachu nad głową, a katastrofa może się zwiększyć każdej chwili, gdyż woda wznosi się z niepokojącą szybkością. Wszystkie tamy są zagrożone i cały system grobli okazał się wadliwy. Woda ponosi worki z piaskiem, podpierające tamy, a płynące pnie drzew biją w chwiejące się zapory i tarany.

W Genewie daje się wyczuwać brak wiary w realne wyniki. Jest to zupełnie zrozumiałe, przecież w konferencji biorą udział Sowiety, państwo najbardziej militarystyczne i dążące do stworzenia z całego narodu rosyjskiego „wielkiej armji robotniczej, któraby wyzwoliła proletariuszy świata całego z pod jarzma kapitalizmu”. A Niemcy, dla których rozbrojenie innych jest drogą do osiągnięcia przewagi w zbrojeniach nad innymi państwami. — Czyż to nie rozsądza genewskich bukolik rozbrojeniowych. Dążenia i tezy rozbrojeniowe niemieckie nic wspólnego z pacyfizmem nie mają. Wbrew cyrom i faktom Niemcy podają się za bezbronne, wystawione na łup każdego ze swych sąsiadów.

Najszczerzej i najskuteczniej dąży do utrwalenia pokoju powszechnego Francja. Jej projekt jest jeszcze jednym kapitalnym tego dowodem. Propozycja tworzenia armji międzynarodowej — to propozycja stworzenia dla Ligi Narodów instrumentu, który

nada tej instytucji obok siły moralnej, siłę materialną. Projekt francuski może stać się rozwiązaniem zawiłego problemu sankcyj. Projekt francuski stawia zwolenników tezy „najpierw rozbrojenie, potem bezpieczeństwo” wobec konieczności wypowiedzenia się wyraźnego w kwestji sankcyj, gdyż do tego właśnie wprowadza się projekt, zgłoszony przez p. Tardieu. Sankcje, czyli nadanie władzy poparcia siłą uchwał Ligi, leżą na tej samej płaszczyźnie, na której znajduje się zagadnienie bezpieczeństwa.

Bystry obserwator naszego życia wewnętrznego, musi stwierdzić pewne charakterystyczne zjawisko. Oto po wyborach, które obozowi prorządowemu zapewniły większość w sejmie, przejawia on ożywioną działalność na polu ustawodawczym. Nie licząc konstytucji, wysunięto szereg innych zagadnień jak: ustawa o ustroju szkolnictwa, ustawa o samorządach, o emeryturach, ustawa o egzekucji podatków — oto najważniejszy poczet aktów ustawodawczych, które są w toku.

Sprawy te zresztą były od szeregu lat przygotowywane. Obecnie zaś, gdy sprzyja konjunktura — zostały przedłożone sejmowi.

W paru rzutach chcemy omówić te ustawy.

Ustawa o ustroju szkolnictwa opiera się na koncepcji szkoły jednolitej, słowem, dąży do powiązania wszystkich gałęzi szkolnych w pewną organiczną całość, przystosowaną do potrzeb państwa.

Z PIŚMIENICTWA

KORNEL MAKUSZYŃSKI: Człowiek znaleziony w nocy. Gebethner i Wolff. Rok. 1932. Str. 330

Autor „Słońca w herbie” ma niewątpliwie wiele cech dickensowskich w swej twórczości. Jest to przede wszystkim pogodny optymizm, umiający ze zdumieniem spoglądać na dziwności życia ludzkiego. Takie zdumienie jest płodne, zachęca bowiem do najdonioślejszej w skutkach rewolucyjności, do powstawania przeciw całemu światu, nie dlatego, żeby go zniszczyć, lecz żeby go ulepszyć, uszlachetnić.

Jego bohaterzy są też przeważnie w opozycji do świata, czasem złorzeczą, najczęściej drwią ze wszystkiego, prawie nigdy nie bluźnią, bowiem „chorzy są” nie na nienawiść, lecz na miłość. Wrozumiałość cechuje przeważnie bohaterów powieści Makuszyńskiego. Litują się oni nad wszelką ludzką nędzą, chociaż sami nie mają więcej do ofiarowania, jak serce. Nic więcej — czy raczej aż tyle?

Makuszyński jest mistrzem w odmalowywaniu tych przepięknych odruchów ludzkiego serca, które podobnie jak u Dickensa bije wśród najnędzniejszych tego świata. Oczywiście to widzenie artystyczne świata, właściwe Makuszyńskiemu, nie ma wiele wspólnego z samą rzeczywistością, jest jej daleko posuniętą stylizacją. Lecz — i jest to właśnie sprawdzianem talentu autora — jego wizja artystyczna życia jest nawskroś autentyczna. Tak powinno wyglądać życie, gdyby jego doradcą był kochany Kornel...

To głębokie wrażenie autentyczności, jakie czynią na czytelniku najbardziej nawet nieprawdopodobne powieści autora „Pereł i wieprzy” — stanowi właśnie o jego królewskiej władzy nad ludzkimi sercami, jest to właśnie ów złoty „klucz do ulicy” — jak powiedziałaby Chesterton do dusz najszerszych warstw społeczeństwa, to jest właśnie to zaklęcie, które go wprowadza pod strzechy. Cz.

LESZEK GUSTOWSKI: Od Warszawy do Sahary. Opisy, wrażenia i studia podróżnicze 1932. Str. 264.

Książka wspomniana waha się na pograniczu literatury podróżniczej i studjum naukowego. Lecz właśnie dlatego rzecz ta ma swą wartość. Literatura opisowa krajów dalekich, zwłaszcza tych, które wchodzą w rachubę w naszej ekspansji handlowej

jest uboga, to też każda nowa pozycja piśmiennicza jest tu wielce cenną, zwłaszcza jeśli cechować ją będzie taka sumienność, jak studjum Leszka Gustowskiego. cki.

EUSTACHY CZEKALSKI: Duży Wójt i mały Wojtuś. Nowele. Rok 1932. Str. 164. Książki liljowe z ilustracjami.

Czekalski celuje zarówno w grotesce jak n. p. w nowelce „Pod kogutkiem” jak w dramatach w rodzaju „Zamknięte drzwi”. Jak to zresztą, niestety, bywa w tego rodzaju lekkiej nowelistyce, dominują tu tematy erotyczne. Autor jednak stara się z pewną dyskrecją mówić o tem o tyle, o ile to potrzebne do stworzenia sytuacji. Obraca się, trzeba przyznać, z dużą swobodą, w różnorodnych środowiskach, tematach, które nastroczają i nieomylną ręką kreśli obrazy, sytuacje, podpatruje życie w jego autentyczności, może niezawsze ponętnej, ale artystyczny efekt nic na tem nie traci. Zresztą szereg takich nowel, jak: „Siła pomocnicza”, „Niewysłowione szczęście”, czy „Twarożek z kminkiem” — mają wiele pogody i zdrowego humoru.

ROMAN WOLSKI: Dla Ojczyzny. Powieść z niedawno minionej przeszłości. Str. 380. R. 1932. Dom Książki Polskiej.

Autor postawił sobie za cel przedstawić fragment życia polskiego przed wojną pod zaborem rosyjskim. Nie jest to jakieś anheliczne martyrologium, raczej obraz zwykłej rzeczywistości w stylu balzakowskiego naturalizmu. Autor też nie chce dać nam żadnej wyrafinowanej transpozycji polskiego życia, poprostu chwyta je na gorąco i środkami prostymi przedstawia, co było. A więc mamy bohatera powieści w osobie Ryszarda, wychowanka korpusu kadetów rosyjskich, który jednak pod wpływem okoliczności życiowych wyrasta na patriotę, płacącego za swą służbę dla kraju wygnaniem. Anegdota powieści jest ineresująca i pozwala czytać książkę z niemałym zajęciem, pomimo pewnej zawilżności stylu. cki.

MIECZYŚLAW GURANOWSKI: Kobieta Biblijna. Gebethner i Wolf. Str. 230. 1932.

Wielki to talent — Guranowski, Umie on wyczarować niezawodnymi środkami artystycznej impresji atmosferę Wschodu, z całą jej bujnością i

żywiwością. Bije z tych trawstacyj biblijnych żar południowego słońca, nieopanowanie pierwotnych natur, równie porywczych w złej jak i w dobrej sprawie. Autor jednak z artystycznym umiarem traktuje momenty erotyczne, nie wyznaczając im więcej miejsca niż jest to w samym tekście Biblii. Jedną z najpiękniejszych opowieści jest nowela o „Sulamith”, którą król Salomon „wyobraził sobie, wyśpiewał, wysnuł z marzeń i wieczystej tęsknoty”! Kryje się w niej ujęta w przepiękną, przedziwnie jednolitą formę artystyczną paradoksalna prawda, że tyle w życiu prawdy, ile złudy, i tyle złudy, ile piękna.

Najpełniej może przedstawia się ostatnia z cyklu opowieść p. t. „Judyth”, przedstawiająca oryginalną wersję dziejów pogromczyni Holofernesa. cki.

RYSZARD VOELPEL: Naokoło świata rowerem. I. tom. Wyprawa do Piramid. Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego. Boston. Massachusetts. U. S. A. Str. 158.

Bez żadnych pretensyj literackich, a przecież językiem rzetelnym, ściśle zespolonym z treścią, opowiada autor swe przeżycia i przygody. Jest to dobra lektura, nie obliczona na niezdrową sensację, a przecież sensacyjna, gdyż wynosząca atmosferę wzruszeń, jakich dostarcza każda podróż. cki.

JÓZEF ST. CZARNECKI: Zmysły na licytacji. Szkice pod ostrym kątem. Str. 104. Cena z zł. Zamawiać przez konto P. K. O. 146.46.

Autor postawił sobie za cel w sposób dosadny rozprawić się z propagatorami rozwodów w Polsce. Błyskotliwym stylem, lecz rzeczowo, argumentami z dziedziny społecznej, gospodarczej i religijno-moralnej atakuje autor wrogów chrześcijaństwa. Książkę czyta się jednym tchem, tyle dostarcza ona ciekawego materiału, świetnie wyzyskanego. Pełne dosadnej a wytwornej ironji, tej co to „sercem gryzie” chwytły polemiczne autora, przyniosą prawdziwe zadowolenie smakoszem publicystyki w stylu naprawdę europejskim.

Książka p. Czarneckiego może być polecana także jako lektura dla starszej, wyrobionej umysłowo młodzieży, przygotowującej się do życia czynnego i myślącej o założeniu rodziny. St. Prus.

Dział Kobiety

D L A D U S Z Y

Walcz, jako dobry żołnierz: a jeśli kiedy z krewkości upadniesz, zdobądź się na większą siłę i ufaj obfitszej lasce mojej; a bardzo wytrzegaj się miłości własnej i pychy.

Przez nią bowiem wielu błądzi i wpada w ślepotę prawie nie do wyleczenia.

Niech ci będzie ku przestrodze i ku ciągłej pokorze, upadek i zguba tych pysznych, co głupio zaufali samym sobie.

Tomasz à Kempis

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa

ALLELUJA!

„Kto lepiej umie cierpieć, ten doskonalszy pokój mieć będzie. Ten jest zwycięzcą samego siebie i panem świata, przyjacielem Chrystusa i dziedzicem nieba”.

Te słowa Tomasza à Kempis każda kobieta dziś winna mieć w pamięci. Wielki kryzys, jaki przechodzi cały świat, zwycięży tylko silna wola, wzniosła głęboka wiara i chrześcijańska cnota. W pracy szukajmy otuchy a miłość bliźniego niech przepętnia serca, nie doprowadzając doń zwątpienia.

Zbrojne w ufność pomocy Pana, kornie przyjmujmy to co życie niesie, z przeświadczeniem, że wielkie jest miłosierdzie Boże dla tych, którzy w niem pokładają ufność i że Zmartwychwstanie Pana w sercach naszych da nam siły do przetrwania zwycięzko najcięższych losu udręczeń,

Tego życzy i tego pragnie dla Rodzin Polskich

R E D A K C J A.

PRACA KOBIET W PRZEMYŚLE

Wyszła ostatnio z druku niezwykle ciekawa praca, którą powinna zainteresować się każda kobieta. Jest to studjum p. Hal. Krahelskiej, b. inspektora pracy, nad całą kwestją pracy kobiet w przemyśle współczesnym*). Zagadnienie to autorka oświetliła na podstawie bardzo skrupulatnie zebranych cyfr, mówiących o liczbie kobiet w przemyśle, o ich płacach i t. p. — oraz na podstawie badań, przeprowadzonych przez inspektorki pracy i lekarzy nad warunkami pracy i wpływem jej na organizm kobiety.

Jakież są wyniki tych zestawień liczbowych i badań?

W pierwszym rzędzie p. H. Krahelska dowodzi, że zwiększa się ilość kobiet-robotnic w fabrykach, a jednocześnie zmniejsza ilość robotników-mężczyzn. Jako przyczynę tego podaje kilka faktów. Więc przede wszystkim: *niższe płace kobiet*. Porównania płac wykazują, że kobiety otrzymują płace zaledwie w wysokości 60—75% płac mężczyzn. Nie jest to związane

z mniejszą wydajnością pracy kobiet, gdyż nawet przy pracy na akord, wykonywując jednakową robotę, kobieta otrzymuje mniejszą płacę. Drugi fakt, to *łatwiejsze poddawanie się kobiet wymaganiom co do zwiększenia wydajności pracy*. Mężczyźni opierają się silniej żądaniom pracy wyteźonej, wymagającej zdwojonego wysiłku. Kobiety w obawie o utracenie pracy zwiększają wysiłek i — wyczerpują organizm i ustrój nerwowy do ostateczności. Trzeci fakt — to *niezorganizowanie kobiet*, mały ich udział w związkach zawodowych, do których mężczyźni niechętnie je dopuszczają, nie rozumiejąc, że sami sobie tem szkodzą. Wreszcie fakt — że *przemysł* (mimo dowodzenia, jakoby ochrona pracy kobiet uniemożliwiała ich zatrudnianie) *chętnie posługuje się pracą kobiet*, bo ta mu się lepiej opłaca. Im bardziej udoskonalone maszyny, im bardziej automatyczna ich obsługa, wymagająca mniejszych kwalifikacyj, tem więcej potrzebuje przemysł ludzi bez przygotowania fachowego i o mniejszych wymaganiach co do płac. Stąd robotnicy wykwalifikowani i zorganizowani w związek, ustalający minimum płac, stają się niepotrzebni i niedogodni. Na ich miejsce idą kobiety.

*) „Praca kobiet w przemyśle współczesnym” — Hal. Krahelska, wydawnictwo Instytutu gospodarstwa społecznego, cykl „Sprawy robotnicze” Nr. 10.

Napływ ten widać nawet w takich gałęziach przemysłu, które wymagają bardzo ciężkiej pracy fizycznej (wysiłku mięśniowego). Wyraźny wzrost liczby kobiet wykazują: przemysł metalowy, chemiczny, poligraficzny, papierniczy i drzewny.

Szkodliwość zatrudniania kobiet w przemyśle fabrycznym ujawnia się jaskrawo w badaniach lekarzy. Organizm kobiecy, mający wrażliwszy od męskiego system nerwowy, a pozatem podlegający właściwościom fizjologicznym, jakich nie znają mężczyźni, — doprowadza pracą fabryczną do ruiny. Robotnica fabryczna po paru latach wpada w choroby przewlekłe i złośliwe, a fatalny wpływ na macierzyństwo zabija ogromny odsetek dzieci nieurodzonych.

To są skutki bezpośrednie. Do nich jednak dochodzą i pośrednie, te, które oderwanie kobiety od domu, jej wyczerpanie pracą zarobkową, sprowadza w życiu rodziny robotniczej. To jest nietylko kwestja niemożliwości, którą miały złagodzić żłobki fabryczne, nietylko kwestja braku opieki nad dziećmi starszemi, — nietylko niemożność rzetelnego spełniania obowiązków wychowawczych, (dla których brak nietylko czasu, ale

i przygotowania, bo gdzie je nabyć? choćby były kursa dla matek, to gdzie czas i myśl wolna?). To jest też kwestja przepracowania robotnic. Mężczyzna wraca do domu na odpoczynek. Kobieta — na ciężką pracę: na gotowanie, pranie, sprzątanie, szycie i t. d. W rezultacie — robotnica 35-letnia to obraz wyczerpania. A wtedy? — Mąż „bierze sobie inną“. Rodzina staje się parodią.

Na stosunki obyczajowe, o których nie pisze p. Krahelska, trzymając się ściśle określonego sobie tematu, — nie ma co oczu zamykać.

Studjum p. H. Krahelskiej stanowi niezwykle ciekawy przyczynek do obrazu życia współczesnego. Daje bogaty materiał do przemyślenia, ile do tej naszej cywilizacji wkradło się absolutnie obcych chrześcijaństwu cech. Słusznie pisze J. E. ks. biskup Kubina w swej książce „W podniosłych chwilach i doniosłych sprawach“, że rozwój gospodarczy świata poszedł drogą bardzo daleką od nauki Kościoła i doprowadził cywilizację do tej katastrofy, jaką przeżywamy obecnie.

Z. Zaleska.

„ZMARTWYCHWSTANIECIE MŁODZI“

Pełna wiary, nadziei i miłości opowieść o borykaniu się młodej dziewczyny na ziemi, z której wyrosła, i dla ziemi, która jest jej droga, jak życie własne, a którą pracą i żelaznym wytrwaniem ratować postanawia, w czasie obecnego kryzysu ekonomicznego, oto przewodnia myśl książeczki, J. Boleszczyca, ukrywającego swem imieniem, młodzieńką autorkę, o czem dowiadujemy się „pod sekretem“...

A zdradzamy ten sekret tylko dlatego, że pragniemy w „Dziale kobiecym“ nie występować za powierzone naszej pieczy ramy i co prawda, dlatego jeszcze, że z radością witamy każdy talent, a cóż dopiero jeśli szlachetne ideały, dążenia i pragnienia, poparte prawdą przekonani niezłomnych, kreśli ręką młodej dziewczyny-obywatelki, rozumiejącej w pełni zadania polskiej kobiety.

Ta „Renia“ — to właśnie taka, jakiej nam dziś trzeba. Bez pańskich fanateryj, bez przesadów, a z poszanowaniem wszystkiego, „co trza, żeby święte było“, zbrojna, w poczucie spełnienia obowiązku, idzie do pracy.

Nie ciąży jej ona. Ratuje mienie własne, pomnaża dobro ogólne, wzniesła szacunek dokoła, a miłość dla szczęścia osobistego, zsyła jej Pan Bóg w postaci człowieka, który patrzy na jej zmaganie się z przeciwnościami i ocenia ją należycie.

* * *

„Rezurekcja. — W kościółku panuje mrok. Tylko świece płoną na ołtarzu. Słychać skrzyp ławek i szmer poruszającego się ludu.

W on czas Marja Magdalena i Marja, matka Jakóba i Salome, zakupiły wonności, by pójść i namaścić Jezusa. Wczesnym tedy rankiem w niedzielę przychodzą do grobu, już po wschodzie słońca“...

Renia zatopiona w modlitwie podnosi oczy. Przez szyby już widać różowe brzoźki.

Dzwony bić zaczynają i ze wszystkich piersi zrywa się krzyk:

„Alleluja“!

„Szukacie Jezusa Nazareńskiego, Ukrzyżowanego“?

„Powstał z martwych. Niemasz Go tu. A! o! idźcie, powiedzcie uczniom Jego i Piotrowi: Idzie przed Wami“.

W kościółku robi się ruch. Wysuwa się procesja, a za nią tłum. Renia wstaje, Jerzy podaje jej rękę i dalej idą już razem... W drzwiach ośniewa ich blask wschodzącego słońca.

Alleluja“!

Tylko taka wiara w Boga, w pracę, we własne trudy i w czyn, który zwycięży przeciwności, jest rękomią przyszości Ojczyzny mocnej i wolnej.

„Zmartwychwstaniecie Młodzi“ wydała „Kronika Rodzinna“ — Warszawa, Podwale 4. Tam też kierujemy nasze Czytelniczki, bo w każdej rodzinie polskiej, ta dobra książka wiana znaleźć gościnne przyjęcie

L. Kotarbińska

DWA KONKURSY ZWIĄZKU PAŃ DOMU

Sprawy związane z działem gospodarstwa domowego zaczynają powoli nabierać nietylko cech aktualności, lecz nawet uroku zagadnień o podłożu społecznym. Zarząd Główny Związku Pań Domu nie ustaje w ciąglem eksperymentowaniu na rzecz wciągania szerokich rzesz kobiecych do współdziałania. Oto ostatnio zapowiada dwa konkursy na referaty, omawiające

sprawy, które mogłyby wywrzeć bardzo dodatni wpływ na zorganizowanie naszych gospodarstw domowych. Oczywiście, o ile sprawy te zostaną należycie przez społeczeństwo docenione i wprowadzone w życie.

I konkurs jest wykonaniem uchwały I-szego zjazdu Pań Domu, która wskazuje na konieczność dążenia do unormowania warunków życia codziennego przez

ujednostajnienie w miastach godzin pracy, posiłków i odpoczynku.

II konkurs jest wynikiem zagadnienia, poruszonego w referacie p. Marji Karczewskiej p. t. „Czy i jak pracuje pani domu” oraz dyskusji, odbytej po tym referacie.



Oto „Kajak-Bóbr.” Pisała o nim Wanda Milaszewska, jako o dzielnym towarzyszu jej podróży po wodach ziemi sawaskiej, w swej ślicznej opowieści p. t. „Czarna-Hańcza” o której sprawozdanie znalazły Sz. nasze Czytelniczki w drugim numerze „Rodziny Polskiej”.

cie, dotyczącej pracy w domu i udziału w tej pracy wszystkich domowników, członków rodziny, a więc męża, dzieci, krewnych i t. p.

W związku z poruszaniem tematami, przewidziane są dwa następujące tytuły tych referatów. Tytuł I-go referatu konkursowego jest: „Unormowanie godzin posiłków w domach rodzinnych w miastach”. Referat winien być oparty na danych statystycznych, dotyczących godzin pracy w szkołach oraz różnych zawodach, a więc: w biurach, urzędach, w handlu, przemyśle, rzemiosłach i t. p.

Tytuł II-go referatu konkursowego jest: „Współpraca domowników i dzieci w gospodarstwie domowym”. I winien on być zaopatrzony w tablice rozkładu pracy w domu z udziałem wszystkich domowników.

A teraz, dla osób zainteresowanych, pragnących wziąć udział w powyższych konkursach, podaje się szczegółowe warunki:

1. Każdy z powyższych referatów traktowany jest niezależnie.
2. Każdy referat winien być napisany na maszynie i obejmować po 150—200 wierszy (45 liter w jednym wierszu).
3. Prace należy adresować do Zarządu Głównego Związku Pań Domu, Warszawa, ul. Nowy Świat 9 i wysyłać w kopertach, zaopatrzonych godłem. Wewnątrz winna się znajdować druga koperta z takimże godłem, zapieczętowana i zawierająca nazwisko autorki lub autora z dokładnym adresem.
4. Termin składania prac wyznacza się do dnia 1-go kwietnia 1932 roku, w którym to dniu nastąpi otwarcie kopert.
5. Za najlepsze dwie prace każdego konkursu wyznaczone będą dwie nagrody. Pierwsza w kwocie 50 zł.; druga w kwocie 30 zł.
6. Sąd konkursowy stanowić będzie Zarząd Główny Związku Pań Domu, łącznie z przedstawicielkami: Instytutu Gospodarstwa Domowego, Naczelnej Rady Gospodarczego Wykształcenia Kobiąt i Redakcji miesięcznika „Pani Domu”.
7. Zarząd Główny Związku Pań Domu zastrzeżo sobie prawo umieszczenia nagrodzonych prac w piśmie „Pani Domu” oraz rozesłanie tychże prac oddziałom związku.

Nie należy wątpić, że powyższe dwa konkursy wzbudzą należyte zainteresowanie wśród szerokiej rzeszy pań domu, tem więcej, że stanowią one niejako wstęp do następnych konkursów na najpiękniejsze nakrycie podwieczorkowe oraz na pieśń o domu rodzinnym.

M. A.

TRZEBA POMYŚLEĆ O WIOŚNIE

Niema nic bardziej niedyskretnego nad... wiosenne słońce. Ono ze zdumiewającą skrupulatnością dostrzeże każdą plamkę, każde wyświecenie na naszym ubraniu. I, co gorsza, pozwoli dostrzec te braki — bliźniemu.

Dlatego to zbliżająca się wiosna musi nas zastać pod bronią, przygotowane na wszelkie ataki w kierunku naszej akurtności i pieczołowitości w konserwowaniu garderoby. Mówię wyraźnie w konserwowaniu, gdyż niewiele z nas z pewnością będzie mogło pozwolić sobie na nowe wiosenne kreacje. Niemniej wszystkie musimy wyglądać powabnie i elegancko, jak przystało na warszawianki. Aby móc sprostać tym obowiązkom ambicji, przyjrzyjmy się co Pani Moda zamysła lansować z wczesną wiosną. Naturalnie zajmiemy się tylko dziewczenną sylwetką pani, ponieważ jej wieczorowa

metamorfoza pociąga za sobą zbyt wiele odrębnych tematów do omówienia.

Między hieroglifami zmiennej mody współczesnej, pierwsze miejsce na wiosnę zajmą kostjmy krótkie i półdługie. Żakiety z paskami przykrojone do tajji, lub bez, podwójnie albo pojedynczo zapinane. Szerokie ramiona, krój męski, przylegający do bioder. A czasem znów odmianę stanowią wpasowywane części kłoszowe, lub lekko odstające kieszenie.

Kompletem, cieszącym się nadal powodzeniem, będzie suknia i płaszcz. I ta kombinacja jest może najpraktyczniejsza, bo pozwala na niezliczoną ilość warjantów. A że zasadniczymi barwami wiosennymi będą grana i tawo we wszystkich odcieniach i s z a r a, do nich więc najłatwiej dostosowana być może nadal obo-

wiązująca jaskrawa d w u k o l o r o w o ś ć. Komplet więc dostosowany do wszystkich powyższych warunków może wyglądać następująco i mieć liczne zastosowania:

Płaszczek lekko wcięty z tyłu, długością równający się z sukienką może posiadać ozdoby w postaci sporej ilości guzików stalowych, które zaczynają być na równi ze stalową biżuterją ostatnim wyrazem mody. Zamiast guzików możemy, jako przybrania na kołnierz i mankiety, użyć materiału błyszczącego, jak wstążki z tak zwanego „toile ciré” lub też płaskiego futerka, albo wprost aksamitu dobranego pod kolor. Płaszczki lżejsze mogą być zupełnie bez podszewki, przy cięższych podszewka musi być dobrana pod kolor materiału. Aby suknia od płaszczyka mogła znaleźć wielorakie zastosowanie w różnych okolicznościach naszego życia, musimy z całą skrupulatnością przemyśleć jej fason.

W pełni dnia nosimy skromne, angielskie, a co najważniejsze młode sukienki. Po południu i pod wieczór już obowiązuje strój dostojniejszy. Pragnąc to uzyskać przy jednej kreacji, korzystamy z fortelu, który nam podsuwa moda sama. Szyjemy spodniczkę docisłą, przylegającą do figury, z jednym lub dwoma wachlarzami, misternie zaplisanymi, które zapewnią nam swobodę ruchów. Do spodniczki dorabiamy podwójną górę, dzięki czemu osiągamy efekt niepospolity, kompletnej zmiany sylwetki.

Błuzeczka na przedpołudnie może mieć śmiało, dwu-

barwne połączenie. Karczek jej oraz górna część rękawów mogą być zrobione z ażurowego trykotu, tak bardzo teraz wziętego przez panie. Przybranie znakomite, nadające charakter sportowy całości stanowiąc będą guziki stalowe. Błuzka na popołudnie musi posiadać bardziej skomplikowaną linję. Przedewszystkiem o wdzięku jej decydować będą rękawy, których pomysłowość niema obecnie granic. Pozatem bluzka zaopatrzona być może w basknię, lub fantazyjny wolant, spływający na spodnicę i zmieniający kompletnie całość sylwetki. Nie należy zapominać o usługach jakie oddają nam w każdym wypadku wszelkie kołnierzyki i mankiety, które nadal cieszą się niesłabnącem powodzeniem.

Nowością letnią będą mantylki-pelerynki kolorowe, narzucane na suknie. Przypomną nam one sferę hiszpańskich „grandów”, ale serdecznie się przystępują, dając możność pozyskania jeszcze czwartej odmiany z jednego posiadanego kompletu. Pelerynki te będą noszone z jedwabiu, velours'u, a nawet flory, a o wykwincie ich stanowić będzie dobry krój oraz kontrastowy dobór jaskrawego koloru.

Jest nadzieja, że obecne małe kapelusiki, które raczej siłą przekonania, aniżeli przymiotami fasonu trzymają się na głowie, zostaną zastąpione w miesiące letnie przez wielkie, skrzydlate kapelusze o przezroczystych rondach. Pewno niejedna z pań powita tę zmianę z radością.

Marja Ankiewiczowa.

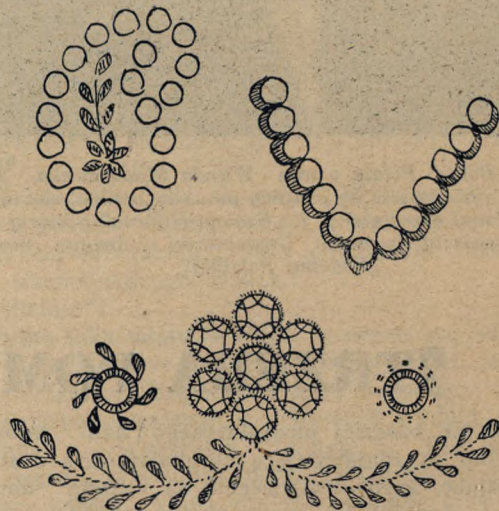
MODNE KOŁNIERZYKI

Pomimo panujących znów mrozów, pojawiają się już zwiastuny wiosny, i na zimnych szybach okien od czasu do czasu suną drobnymi nóżkami biedronki, zwane u ludu wiejskiego „Zazulkami”. A ponieważ ma być wiosna, więc musimy przygotować lekkie, powiewne suknie przystrojone licznymi falbankami i kołnierzykami.

Modne mają być również krótkie rękawki, zakończone hafcikiem, lub długie rękawy z fantazyjnym

mankietem. Sygnalizują również żaboty i wiązane, tiulowe krawatki.

Dobrze! niech będzie co chce, byle było ładne i swojskie.



Rys. Marja Stefkowa.

Wzory haftów krakowskich.



Koszula wiejska z okolic Krakowa.
Fot. K. Stefko.

Wszystkie te ozdoby naszych sukien mają być białe, pajęczne, lub nieco grubsze, z batystu, tiulu, lub cienkiej piki.

Są to materiały, nadające się do lekkich, białych haftów. Najskromniejszą suknię ozdobi i doda jej wdzięku biały kołnierzyk z opalu, związany na zgrabny

węzeł z przodu na końcu zaś krawatki wyszyjemy biały, delikatny wzoreczek z koszuli kobiety wiejskiej z Dziekanowic pod Krakowem.

Srodek wzoru, jak widać na rysunku, składa się z siedmiu dziurek dzierganych do wnętrza i obwiedzionych misterną siatką z białej, cienkiej nitki. Siatka ta zwie się wśród wiejskich hafciarek „robótką“. Dodaje ona wdzięku i lekkości całemu wyszyciu.

Motyw hafciarski uzupełniony jest gałązkami, rozchodzącymi się w dwie strony, drobne listeczki wypełnione podwleczeniem, wyszyte są ścięciem „atłaskowym“.

Wzór ten, tworzący odrębną całość, może zdobić narożnik, lub owal mankietka, końce kołnierzyka, lub husteczki.

Przędza do haftu powinna być dobrana do jakości materiału, a więc na jedwabnym opalu haftujemy podwójną nitką mouliné, na tiulu użyjemy białej bawełny D. M. C. Nr. 50, a do podwleczenia najlepiej będzie się nadawał Nr. 35. Uważajmy jednak, by nici do haftu

były z połyskiem, gdyż matowe zatracają piękność wzoru.

Do wyrobienia „robótki“ weźmy nici do maszyny Singera Nr. 30 lub 40.

W okolicy Krakowa, Olkusza, Miechowa i Kielc nosiły dawniej kobiety wiejskie bardzo bogato wyszywane koszule, spodnice, fartuchy i czepce.

Wyszywały również prześcieradła na łóżka, obrusy na stoły, rańtuchy i chusteczki. Dziś hafty te przeważnie zanikają, resztki znajdują się w muzeach, lub prywatnych zbiorach.

Najdłużej jednak przetrwają w takich dziełach, jak je wydaje z wielkim umiłowaniem Seweryn Udziela.

Oprócz dawniej wydanych haftów kolorowych wydał Udziela w ubiegłym roku bardzo starannie opracowane dzieło p. t. „Polskie hafty ludowe“. Jest to skarbnica wzorów wraz ze ścięgami i opisem oraz załączonymi kalkami. Można więc czerpać dowoli w tem bogactwie ludu polskiego. *Marja Stefkowa.*

WZORY Z PODLASIA

W każdej rodzinie wybitne miejsce zajmują dzieci, jako podwalina i nadzieja każdego narodu. Poświęca się im znaczną część swego życia, troskę o ich dobro i wygodę. Każda młoda matka uczy się i rozmyśla, jakby najlepiej i najstaranniej wychować swe dziecko.

Gdy maleństwo jest jeszcze w powiciu troszczy się o nie i pielęgnuje, przyozdabia z radością wózek czy kołyskę, a później, gdy już zaczyna chodzić i gaworzyć, ma niezmierzone pole zdobnicze w sukienkach i ubrankach.

Każde dziecko lubi, gdy jest ładnie ubrane, zwłaszcza dziewczynki wczesnie zaczynają zwracać na to uwagę.

W mieście, niestety, wszystko jest kupne, szablone, wytwarzane w tuzinach, to też dzieci, których matki nie mają własnej inwencji, wyglądają jak lalki z wystawy, wszystkie jednak, bo tak każe moda.

Są jednak matki, które ubierają swe dzieci indywidualnie, higienicznie, a więc przede wszystkim w lecie w krajowe samodziały. Sukienka dla dziewczynki, czy ubranko dla chłopczyka uszyte krojem kimonowym z cienkiego litewskiego płótna jest bardzo praktyczne i przez pranie wybiela się. Takie ubranko można w różnoraki sposób przybrać. Najpiękniej jednak wygląda sukienka ozdobiona haftem, zaczerpniętym

z wzorów ludowych. A ileż taka sukienka haftowana daje młodej matce tematów do opowiadań dziecku?

Jak ciekawie słucha taka mała dziewczyneczka, jak to wieśniak zasiewał len, z którego wyrosły nitki na jej sukienkę. Jak len, kwitnący niebiesko, podobny



Podlasianki.
Fot. Marja Stefkowa.



Wyszycie na koszuli kobiecej na Podlasiu.
Fot. Marja Stefkowa.

jest do oczek dziewczynki i tak samo jak ona patrzy na świat Boży ozłocony słońcem.

A ileż to śmiechu wywołuje opowiadanie o młodych gęsiach, pilnujących płótna przy bieleniu na łące!

Starsze dziewczynki chętnie słuchają przy ubieraniu się o tem, jak na wsi wyszywają piękne wzory na samodziałach dziewczęta i chłopcy i jakie tam są zwyczaje podczas przedzenia lnu i tkania płótna.

Opowieści takie sączą w duszę dziecka wraz z miłością matki ukochanie wsi polskiej, uczą się szanować pracę rąk wieśniaczych. Kobieta, mająca w duszy takie umiłowanie, nie będzie w życiu lalką, czy manekinem malującym swe usta na ulicy, czy też w kościele, lecz przejdzie przez życie mając oczy szeroko otwarte na piękno wsi, lasu, słońca i całej przyrody.

Młodym matkom, pragnącym wychować swe dzieci w tym duchu, podajemy wzór do wyszcycia na takiej bajkowej sukience z samodziału.

Skrojona jak najprościej, ma tylko dwa szwy boczne, jak każde kimono. Wdziewać ją można przez główkę, a wycięcie w kwadrat koło szyjki ozdobimy wy-

szyciem z Podlasia. Na fotografii widzimy dwie barwy czerwoną i czarną, albo czerwoną i białą.

Na fotografii dziewcząt z Podlasia widzimy również wyszcycia dwubarwne, nadające się do rozproszania przy rękawkach, na dole sukienki, lub wzdłuż zapięcia bluzki u chłopczyka. Bawełnę do wyszcycia użyjemy D. M. C., lecz dla bezpieczeństwa lepiej ją sparzyć we wrzącej wodzie z odrobiną soli.

Lud wiejski, w okolicach, gdzie cenią hafty, wyszywa wprost na samodziale bez kanwy, dlatego hafty z tych okolic mają wielką wartość zdobniczą.

Marja Stefkowa.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. An. Czop... z Inowrocławia. — List Szanownej Pani oddamy naszej cennej współpracownicy p. Stefkowej. Porozumie się z Sz. Panią bezpośrednio.

P. Wład. Kozł... w Sieradzu. — Ostatni zeszyt „Królowej Apostołów” za luty już niezawodnie Sz. Pani został wysłany. Cena pojedynczego zeszytu 30 groszy. Wydawnictwo jest niezmiernie staranne, jak wszystko zresztą, co wychodzi pod opieką Stow. Księży Pallotyńców z hasłem: Z Bogiem dla Ojczyzny!

Redakcji „Słowa Katolickiego” w Łodzi. — Nieodpiśnięcie na listy, śmiało można nazwać naszą wadą narodową. I dlatego należy mieć dla niej pobłażanie, co nie przeszkadza, starać się z niej leczyć samym i leczyć z niej wszystkich dookoła o ile to tylko możliwe. Zanim współpracownicy nasze dadzą Sz. Redakcji listowne odpowiedzi, załączamy ich adres: p. Marja Ankiewiczowa, specjalistka działu gospodarstwa ulepszanego i działalności w tym zakresie „Pań Domu”: Warszawa, Piękna 11, p. Z. Zaleska, obznajomiona ze wszystkimi sprawami społecznymi i całą w tym zakresie działalnością kobiet: Warszawa, Mokotowska 41, p. Marja Stefkowa, znająca doskonale sztukę ludową i umiejąca stosować swe wiadomości do robót ręcznych: Warszawa, Topolowa 5, p. H. Rostafińska-Choynowska, która z dużym talentem pisze i obdarza dzieci nasze śliczną opowieścią w każdym numerze, niezawodnie stawi się na wezwanie, zwłaszcza po odczytaniu tak miłych słów, z jakimi o jej pracy zwróciła się Redakcja „Słowa Katolickiego” do nas. Adres jej: Warszawa, Hoża 50. — Redaktor działu literackiego p. Czarniecki, także niezawodnie chętnie przyjmie propozycję koleżeńskiej przysługi. Na robotę zasyłamy nasze „Szczęście Boże”!

P. Wanda Marc... — Chętnie służymy informacją. „Mały Apostoł” wychodzi w zeszytach co miesiąc. Prenumerata roczna kosztuje w Polsce 2 zł., we Francji 7 fr., dokąd wysyłamy dużo zeszytów dla naszych emigrantów. W Czechosłowacji 8 koron. W Ameryce, która zabiera dziesiątki tysięcy, tego pożytecznego pisemka dla dzieci, prenumerata kosztuje 75 centów. Trudno o tańsze wydawnictwo, starannie wydane i ozdobione ładnymi ilustracjami.

Pannie Zofji Marcz z Nowego Sącza. — Ślicznie, że Pani znajduje czas na naukę czytania tych, którzy dotąd czytać nie umieli. Mickiewicz powiedział: „w słowach tylko chęć widzimy, w działaniu potęgę” — a tego działa-

nia na każdym kroku — potrzeba bez miary. Praca, choć narazie, żmudna wypłaci się Pani wielkim zadowoleniem wewnętrznym, kiedy pierwsza analfabeta przeczyta Pani głośno, parę wierszy płynnie.

Pannie Janinie Zaw... z Rawy. — Ostatni zeszyt miesięcznika „Morze” jest niesłychanie zajmujący. Otwiera nam nowe horyzonty naszej znoej pracy i pokazuje ileśmy już zrobili, a ile jeszcze do zrobienia zostaje. Adres redakcji tego pięknego, bogatego w treść i zdobnego ilustracjami pisma jest: Warszawa, Nowy Świat Nr. 35. „Liga Morska i Rzeczna”.

P. Biał... z Bydgoszczy. — List Sz. Pani przydamy do p. J. Guderskiej, czyniąc z praktyki zaczerpniętą radę, aby nie podlewać za dużo roślinki, która w zimowe miesiące jest leniwa i nie potrzebuje tak dużo pokarmu jak w lecie.

P. Wikt. Miel... w Jaroszytach. — Czego nam dziś najwięcej trzeba do naszej wewnętrznej struktury duchowej? zapytuje Pani. Według nas: C h a r a k t e r ó w. Bez ich wyrobienia, niema woli, niema wytrwania, niema silnych przekonań. A bez tych przymiotów niema także silnej wiary, nadziei i wielkiego miłowania czegoś więcej nad siebie, swoich potrzeb, swoich upodobań, często zachcianek. Niewolno też nam właśnie w tej ciężkiej epoce, zacieśniać kręgów życia. Przeciwnie, należy w nie wchodzić, należy wszystkie objawy śledzić, aby się samemu kontrolować i zdawać sobie sprawę z tego, że w wirze życia publicznego, właśnie kształci się i urabia — charakter.

Starannej Matce. — Oczywiście, że trudno jest oprzeć się nieraz chęci ucałowania ślicznej, różowej buzi dziecka. Ale, że to ani potrzebne, ani radewszystko zdrowe — to nie ulega wątpliwości. Na ten temat pisał kiedyś artykuł w „Kurjerze Warszawskim” dr. Cz. Hoppe, przeciwnik wszelakich pocałunków a już naturalnie przede wszystkim dzieci. Radzi, aby na ślimaczkach niemożliwość pisać: „Nie wolno mnie całować”, a dowodzenie swe popiera zaczerpniętymi z nauki argumentami: „Jama ustna u każdego człowieka pełną jest zarazków chorobotwórczych i najjadliwszych bakterij, które tylko czyhają, żeby się przenieść na jakiś słabszy ustrój”. A więc miejmy się na baczności i zaniechajmy tych pocałunków powitalnych i pożegnalnych, które zastąpić łatwo serdecznym rąk uściskiem, a które mimo swego przeznaczenia — mogą nieraz przynieść niepożądaną chorobę, zamiast w raz trwałej życzliwości.

KĄCIK DLA DZIECI

KROKUSY

W górach długo trwa zima, bardzo długo. U nas na dolinach dawno już cieszymy się wiosną, a tam dopiero topnieją śniegi. Ale przy końcu marca, gdy zaczyna przygrzewać wiosenne słońce, pojawiają się wśród śniegów panujących naokół fiołkowe kwiaty — krokusy. Gdzie tylko słońce wytopi trochę śniegu, zaraz w tym miejscu zakwitają całe kępy owych kwiatów. Krokusy są zazwyczaj fiołkowe, rzadziej białe lub żółte, podobne trochę do lilij, rosną na krótkiej łądźce tuż nad ziemią nie bojąc się mrozu ni zimy. Tak to pięknie wygląda, że z dalekich stron zjeżdżają się ludzie, by zobaczyć te liljowe kobierce na białym śniegu rozpostarte.

Wypadała bardzo wczesna Wielkanoc. Śnieg grubym kożuszkiem pokrywał ziemię, białymi okiściami ustroił gałęzie smreków, jeziora i strumienie tężały w lodowych okowach, a sople przezroczyście mieniły się tęczą w blaskach słońca. Nad światem panowała zima. Ogrzewało ziemię słońeczko, ogrzewało, ale nie mogło przebić lodowej skorupy; trapiło się niepomiernie, że na święto Zmartwychwstania Pańskiego, ani jedna roślina na ziemi nie zakwitnie. Zwróciło się więc do trawki zielonej i prosiło: Zazielen się trawko, choć paru kępkami, ty jesteś wytrzymała na zimno, późną jesienią jeszcze się zzielenisz. A ja cię ile sił ogrzewać będę. Ale trawka odpowiedziała: Słabiutka ja jestem i musi ziemia dobrze odmarznąć i zwilgnąć, bym się zazielenić mogła. Zwróciło się więc słońeczko do śniegułki: — Śniegułko, śniegulinko! Zakwitasz pierwsza wśród wszystkich kwiatów, przebij się przez te śniegi, ja ci dopomogę.

— Och! nie mogę zakwitnąć — odpowiedziała śniegułka — póki skowronek nie przyleci. A jeszcze nie słysząc jego śpiewu. Nie, nie zakwitnę... Prosiło więc jeszcze słońeczko żółtego podbiału, co jak gwiazdka złocista na ziemi jeden z pierwszych po zniknięciu śniegów zakwita. Ale podbiał bronił się: — Nie chce kwitnąć śnie-

gułka, co ma taką długą łądźkę, jakże możesz wymagać tego odemnie, co przy samej ziemi rosnę, toćby mnie śnieg udusił. Prosiło więc biedne słońeczko po kolei i przyłaszczki i sasanki i różne wiosenne kwiatki i roślinki, ale zawsze otrzymywało odmowną odpowiedź.

— Jakaż to będzie Wielkanoc — zalamentowało słońeczko — bez jednej żywej roślinki! — i zatrapione chciało się już za chmurki schować, gdy nagle rozległ się głos cichutki: — Czekać słońeczko! Nie martw się, my zakwitniemy! Kto to mówi — zdziwiło się słońeczko. — My, krokusy!

— Krokusy te mdłe kwiatki, co zerwane i dnia jednego nie przeżyją? Nie boicie się?

— Prawda, że zerwane więdną zaraz, bo nie znosimy niewoli — odparły krokusy — ale na wolności dużo wytrzymać możemy, zresztą kwitniemy zawsze gromadą, a w gromadzie — siła! Bać, to się może i trochę boimy, ale choćby tam i któremu zmarznąć przyszło, to nienapróżno, skoro ozdobiemy sobą Pana Jezusowe święto.

— Dzielne, kochane kwiatki — rozpromieniło się słońeczko. A krokusy na to: — No to dalej do pracy; Zbierz słońeczko twe złote promyczki w gromadkę i nie siłuj się z zimą, jeno wypalaj małe przestrzenie śniegu, ogrzewaj ziemię, a gdzie tylko śnieg ustąpi — my zakwitniemy.

A gdy nadeszła Wielka Niedziela, rozjaśniły się oczy ludzi, znużonych jednostajną bielą długiej zimy, bo kędy spojrzeli, wśród śnieżnych pól zakwitwały pęki liljowych kwiatów. Dzwony dzwoniły, ludzie śpieszyli do Domów Bożych, radosny śpiew „Alleluja” rozlegał się wokoło. Śpiewały serca ludzkie i śpiewały cichutko fiołkowe kwiatki, które w nagrodę za to rozkwitają pierwsze z wiosną, nie bojąc się mrozów ni śniegu.

H. Rostafińska-Choynowska.

ŚMIGUS, DYNGUS...

Śmigus, śmigus, dyngus, dyngus...
 — Weselości pora!
 Śmiechu pisku dziś od rana
 Będzie do wieczora.
 Nabiorę ja trochę wody
 Wejdę do kąteczka
 I poczekam, gdy nadejdą
 Jasię i Haneczka.
 Wtedy wyskoczę z ukrycia
 I tą dawną modą
 Krzycząc: śmigus, śmigus, dyngus!
 Pokropię ich wodą.
 Tak dla śmiechu, lecz bez szkody —
 Nie niszcząc ubranka,
 Skropię wodą buziak Hani
 Koniec noska Janka.

H. R. Ch.

PADA DESZCZ...

Pada deszczyk drobny,
 Sieje się po ziemi,
 Oj! Co ja też pocznę
 Z dzionkami chmurnemi.
 Nie wybiegnąć w pole,
 Wszędzie woda, błoto...
 Ot wiem, tu w kąteczku
 Usiądę z robotą.
 Wezmę krasne nitki,
 Wyhaftuję kwiatki.
 Złote kłosy zboża,
 Maki i bławatki.
 Oj! żmudna robota,
 Ale potem za to
 Na mojej robótce
 Rozkwitnie mi lato.

H. R. Ch.

WIERSZYK DO ZGADYWANIA.

Zosia balonik dostała
 Wielką radość z niego
 Przestrzegala ją mateczka:
 Niech uważa
 Bo wiatr silny dzisiaj wieje!
 Lecz Zosia się z przestrog
 Długą nitkę przywiązała
 I z balonikiem
 W tem wiatr dmuchnie z wielką siłą
 Już balonika nie
 Poleciał sobie do góry
 Coraz wyżej ponad
 Bardzo się dziewczynka smuci
 Lecz balonik już nie
 Płacze teraz Zosia mała:
 Żle, żem mamy

H. R. Ch.

ZAGADKA - ŻARCIK.

Pytanie: Co się dzieje z wroną, gdy skończy lat osiem?

Odpowiedź: Zaczyna dziewiąty rok!

Rozrywki Umysłowe

pod kierownictwem Warsz. Klubu Szaradzystów.

ZAKOŃCZENIE I-GO KONKURSU KWARTALNEGO.

6. LOGOGRYF (5 punktów).

Świat stał się posępny, smutny i ponury...
Z wszelkiego uroku życia tak odarty, —
Jakgdyby zawisły nad nim ciężkie chmury
Pełne burz dziewiątej — i jak gdyby starty
Miał być już za chwilę w proch, w pył obrócony,
A ogniem piorunów nieboskłon rozdarty, —
Tak każdy drży w trwodze srodze zasmucony...
Bo któż chmury wstrzyma, któż im stawi czwarty?
Śmierć wsteczne dziesiąte mieć będzie na świecie,
Gdy burza złowrogim ogniem nam zaświeci...
Tedy to nam ziemia otworzy swe trzecie,
Przygarnie, ukoi, jak matka swe dzieci...
O los jest okrutny, pelen surowości, —
To też dusza pierwsza w udręce się miota!
Już to mej wstecz drugiej nikt nie pozazdrości, —
Gaśnie mego szczęścia jasna zorza złota...
Lecz może świat swoje oblicze odmieni,
Ze żyć nie będziemy jako szósta w mroku
I może nam szare życie rozpromieni,
A iskra radości zabłyśnie nam w oku...
Ósme dobroć Boga, wierzymy, że przecie
Nadejdzie już koniec siódmej tej życia,
Ze na drodze naszej rozprośnie się kwiecie,
Dole szarą słońce ozłoci z ukrycia.
Wzrokiem od piątego, aż do zmierzchu sięgam
W jasny błękit nieba, że może zobacze
Tam swą gwiazdę szczęścia... lecz jakaś potęga
Mgłą mi ją przysłania — aż z żalu duch płacze.

Może stek zła wstrzyma jaka wstecz dwunasta, —
Och! bo życia urok ono wciąż nam psuje!
Kaźde z świętych uczuć w smętną płeśń obrasta, —
To też nic żywota tęsknotą się snuje...
Niebo jedenaście nam piękno przyrody
I zesłało na nas uczucie miłości:
Z niej to powstać winno poczucie do zgody —
A zaś z tej ostatniej, promienie radości!
(Sylaby logogryfu: am, at, da, ćma, gro, i, il, inż, ja, jąc, ji, ło, ło, mo, no, o, od, ow, pór, roń, świ, tu, zna, zy. Początkowe litery wyrazów czytane od góry do dołu, oraz końcowe od dołu do góry — dadzą rozwiązanie).
L. Ciesielski, czł. Kl. Sz.

7. SZARADKI.

(po 2 punkty — razem 4).

- a) Pierwsze i półtrzeciego — od pierwszego!
Bo gdy Was sparzy — lub nawet zwarzw —
Trzecia-druga będzie wina,
I bolesna wielce mina...
Lecz dwa!... może tak nie będzie!...
Wszystko — w polskich grodów rzędzie.
- b) Pierwsza-trzecia, — to imię niewieście,
Lecz semicka jest jej trzecia-pierwsza:
Zwykle ona handluje też w mieście, —
Na trzy-drugie cen swych nie wywiesza,
Więc potargować można — nic nie szkodzi!
W literaturze cała zaś przychodzi.
M. Waksmundska, czł. Kl. Sz.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ. III KONK. KWART. 1931.

umieszczonych w numerach 7, 8 i 9 „Rodziny Polskiej”.

Rozwiązanie rysunkowe p. K. K. Kozłowskiego z Warszawy:

1. PRZEKŁADANKA.



Rozwiązanie wierszowe p. T. Pankiewicza z Białegostoku:

Jak wielki świat i piękny, tak wielkie idee „Rodzina Polska” nam zawsze sieje.

Popieraj ją każdy czy w słowie, czy w czynie,
A u mnie nawet w wierszyku zaśnie.

2. SZARADA:

Zacznijcie wargi nasze chwalić Panne świętą!

3. KRZYŻÓWKA.



Rozwiązanie rysunkowe p. N. K. Kozłowskiego z Warszawy:

4. SZARADA:

Polska siła zbrojna.

M. Śl.

C. d. w numerze następnym.

Wydawcy: Stow. Młs. Księży Pallotyńów.

Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.

Redaktor: Józef Czarniecki

Wykonano w Drukarni Archidiecezjalnej, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71.

NIEZBITA PRAWDA.

„Cukier krzepi” — to króciuchne zdanie, bijące przez długi czas z każdej kolumny pism, podchwycone przez stołecznych żartownisiów, przerabiane na przeróżne kawały i anegdoty, przetrwało próbę — cukier krzepi, bo krzepi naprawdę, i — na to niema rady. I ci, którzy niedawno jeszcze oponowali z wyższością ludzi, którzy „wiedzą lepiej”, dziś już też to stwierdzają z pełnym przeświadczeniem.

Anglik, który poza używaniem nadmiernych ilości niepotrzebego alkoholu, słynie z racjonalnego odżywiania się, od śniadania już spożywa cukier, czyto w obficie słodzonej herbacie, czy też w postaci słodkich jam'ów i marmelad, bez których angielskie śniadanie trudno sobie wyobrazić. Zwyczaj ten przeniknął już do Ameryki, Francji, Niemiec. I słusznie. Przeciętny człowiek najcięższą pracę wykonywał w czasie pomiędzy śniadaniem i obiadem. Dlatego też do tej pracy powinien posiadać jak najwięcej sił, czerpiąc je z pożywienia, które z jednej strony powinno dawać jak najwięcej energii i zapału do pracy, a wartością odżywczą przewyższać wszystkie inne produkty, składające się na przeciętny codzienny posiłek, — z drugiej zaś — nie obciążając żołądka, zawierać najważniejsze pierwiastki potrzebne do racjonalnego odżywiania organizmu. Bo pełny żołądek, to rozleniwienie, senność, a rezultat: niemożliwość nagięcia się do intensywnej pracy.

Produktem, którego kilka kawałków już wystarczy do podniesienia energii, samopoczucia, zapału, to nasz zwyczajny, codzienny cukier, którego wartości wciąż jeszcze nie potrafimy w pełni ocenić; — może dlatego właśnie, że taki bliski i codzienny, — aż właściwszego znaczenia zaczyna dla nas nabierać wtedy dopiero, gdy stanowi część składową jakiegoś kosztownego, zagranicznego preparatu, zaleconego nam na zasadzie specjalnej recepty.

U nas jam do śniadania jest jeszcze stosunkowo dość wielką rzadkością. Możliwie dlatego, ponieważ niewiele gospodyń wyrabia te specjalne w domu, fabryczne jamy zaś są zbyt kosztowne. Ale wszakże nie łatwiejszego, jak wyrabiać wszelkiego rodzaju jamy, konfitury i marmelady domowym sposobem. Cukru, dzięki Bogu w Polsce nie brak, a owoce w sezonie są bardzo tanie. Chodzi o to, by w czas o tem pomyśleć i przygotować zapasy, któreby starczyły do przyszłego lata.

Rzecz to napozór błaha, a jednak bardzo poważna, wszelkie bowiem przetwory owoców z cukrem mają dla organizmu zasadnicze wprost znaczenie, którego nie wolno lekceważyć. Pamiętajmy, że poza olbrzymią wartością odżywczą, cukier

Każdy wygrywa!

KONKURS spożywców cukru
pod hasłem:

ozoczyła soli-ozoczyła cukru

NAGRODY: I-sza 100 zł. II-ga 50 zł.
(przez losowanie) i 14 nagród po 25 zł.

Każdemu uczestnikowi konkursu zostanie bezpłatnie przesłana gra towarzyska, lub wielobarwnie ilustrowana książeczka

Należy z pomiędzy niżej przedłożonych haseł:

1. **Cukier** — daje smak jarzynom
2. **Cukier** — udelikatnia mięso
3. **Cukier** — najlepsza zaprawa zupy
4. **Cukier** — to podstawa wykwintnego sosu

wybrać dla propagandy takie, które w Polsce najlepiej w praktyce się przyjmie, aby zapoczątkować zasadę, stosowaną w kuchniach zachodniej Europy.

Nakleić znaczek 10 gr. i wysłać w otwartej kopercie z napisem „druk”.

Do Biura Propagandy Konsumcji Cukru
Warszawa, Karowa 20

Głosuję za Nr.

Imię i Nazwisko

Adres

*Wszędzie gdzie
używamy soli,
należy również
używać
cukru!*

Nr. 181

wywiera nader zbawienny wpływ na narządy trawienne, przyspieszając proces trawienia i działając niezmiernie kojąco na kiszki.

Dlatego na stole ludzi, dbających o swe zdrowie, nie powinno nigdy do śniadania, obiadu, czy kolacji zabraknąć cukru, bez względu na to, czy to w postaci legumin, kompotów, czy ciast, czy też w postaci najnaturalniejszej, — poprostu kilku kostek cukru, podanych każdemu na zakończenie posiłku.

L. W.

Czy wiesz, ←

→ **że**

potęga Katolicyzmu
w Polsce jest zależna
od potężnej katolickiej
prasy?

Dlatego czytaj i rozpowszechniaj
PISMA KATOLICKIE!

DOKTÓR MEDYCyny ALEKSANDER PARCZEWSKI

Choroby skórne. włosów (wypadanie, łupież) przyjmuje codziennie od 9 rano do 9 wieczór **Biednym ulgi i rachunek po wyleczeniu.** Warszawa, Żórawia 8 m. 18.

Czy już znacie

„POSIEW”

tygodnik katolicki
dla wsi i miast?

Żądajcie bezpłatnych numerów okazowych!
WARSZAWA, KRAK. PRZEDMIEŚCIE 71.

JAKĄ KSIĄŻKĘ DZISIAJ ZAMÓWIĘ?

POWIEŚCI KATOLICKIE:

SPILLMAN JÓZEF KS.

Tajemnica spowiedzi

Powieść Zi. 3.—

Są książki, które nigdy nie tracą na aktualności, które — można powiedzieć — nigdy się nie starzeją. Do takich książek należy powieść Tajemnica spowiedzi, która doczekała się w polskim języku obecnie już czwartego nowego wydania.

SKOLASTER H. KS.

W pętach guślarzy

Powieść Zi. 2.45

Autor — długoletni misjonarz w Afryce — opowiada nam barwnie i zajmująco o całej groźbie pogańskiego zabobonu i guślarstwa. Epizody pełne dramatycznego napięcia przykuwają silnie uwagę czytelnika.

WANDA GROCHOWSKA.

Syn rozbójnika

Piękna polska powieść obyczajowa, tak pogodna i dobra, że z ciekawością czytają ją starzy i młodzi. Zi. 2.—

CZESKA-MACZYŃSKA MARJA

Rycerz Chrystusowy

Powieść historyczna z czasów świętego Wojciecha. Znakomita autorka „Powieści Chrystusowych” opisuje w tej nowej powieści tragiczne dzieje grzesznicy. Zi. 4.25

HIEROMIN ZAŁESKI

Na rozdrożu

Powieść Zi. 3.50

KSIĄŻKI RELIGIJNE:

LENARTOWICZ J.

Sto rad i upomnień

Złota książeczka — istna skarbnica dobrych rad życiowych dla kobiet i panien. Zi. 1.—

HIRSCHHAUEROWA

Modlitwa Pańska

Autorka skreśliła tu prosty lecz treściwy wykład Modlitwy Pańskiej i Pozdrowienia Anielskiego. Zi. —.90

CHAUTARD O.,

Życie wewnętrzne a duch apostołstwa

„Działalność katolicka, jeżeli ma mieć prawo do tej nazwy i ma przynieść prawdziwe korzyści społeczeństwu i Kościołowi, nie może być tylko zewnętrzną, ale musi być głęboką, musi docierać do dusz i wychodzić od ludzi, którzy sami z sobą i Panem Bogiem są w porządku”. (Książę Arcybiskup Sapieha).

Dzieło to jest dla polskiej literatury ascetycznej prawdziwie cennym nabytkiem. Zi. 4.—

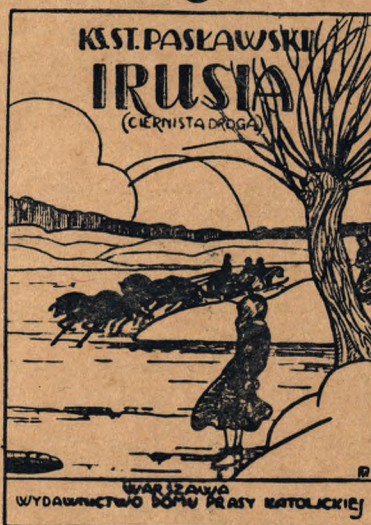
M. S. P. KS.

W ręce Ojca

40 opisów ostatnich chwil życia i momentów śmierci ludzi znanych i nieznanych. Jak nić czerwona przewijają się głębokie myśli apologetyczne przez strony tej pięknej książki. Zi. 3.50



Cena Zi. 2 —



Cena Zi. 3.—



.3a cenzi . —

ZAMAWIAĆ:

Wydawnictwo Księży Pallotynów
WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 71.